



"NO TO CO"
CZY "TO"
ISTNIEJE

STR. 8

MAGICI
TAKŻE
UMIERAJĄ

STR. 4



NIEZAWINIIONA
SAMOTNOŚĆ

STR. 3

DESZCZ
CZY
POGODA

STR. 9

ODGŁOSY



ROK XVIII NR 31 (921)

31 LIPCA 1975 ROKU

CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

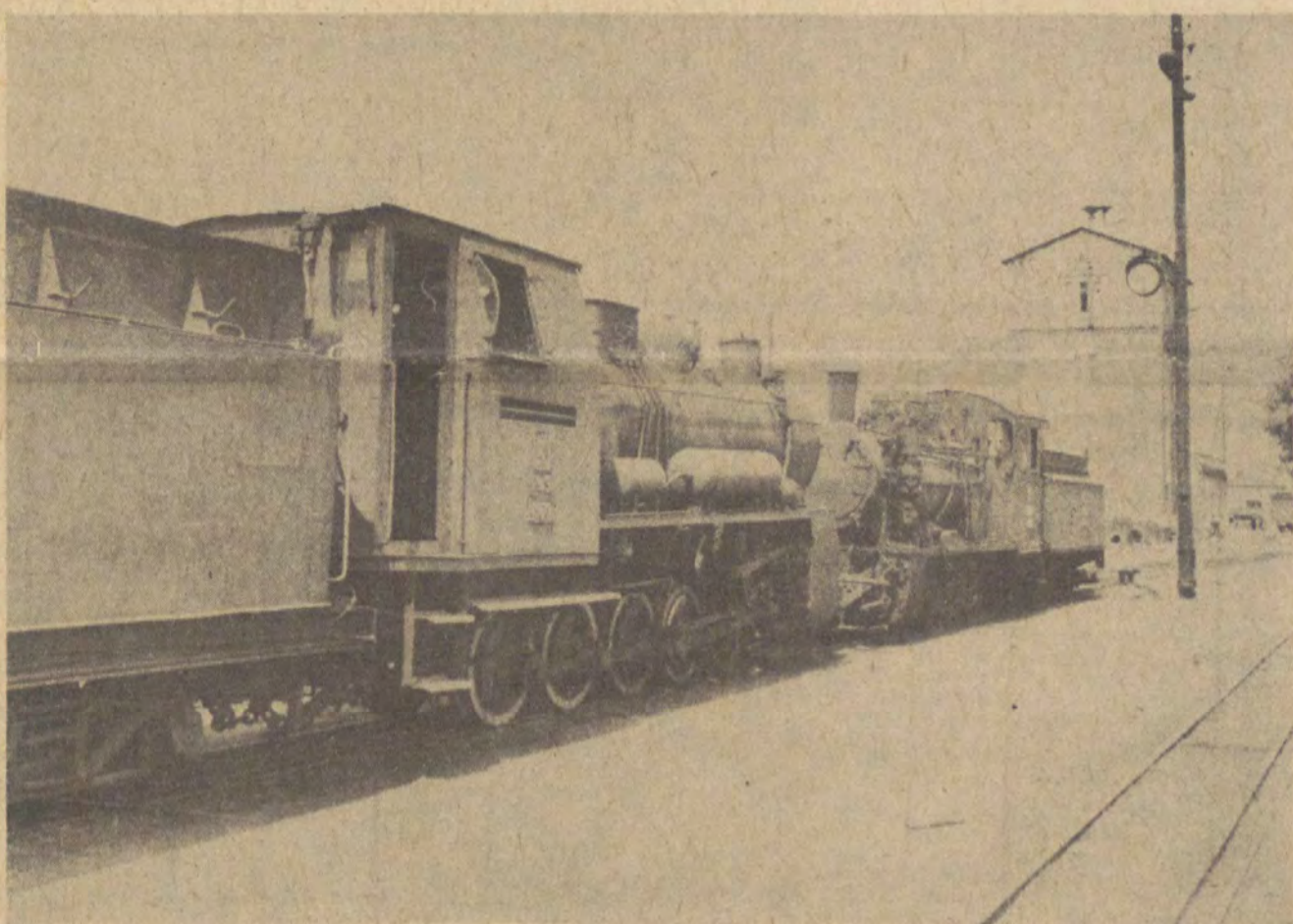
Gospodarskie spojrzenie w przyszłość — tak w sposób najbardziej ogólny można by określić ostatnie debaty plenum Komitetu Łódzkiego PZPR. Dokonując podsumowania wyników ekonomicznych za I półrocze br., ani na chwilę z pola widzenia uczestników obrad nie ginęły zadania bliższej i dalszej przyszłości. O szczegółach piszemy w artykule: „Pomyślny bilans — ambitne plany”.

Świat jest pełen paradoksów i kontrastów. We współczesnym świecie współistnieją rzeczy i sprawy wyprzedzające naszą epokę, obok tych, które zrodziły się w przeszłości i na przekór logice, funkcjonują nadal — oto jakie wnioski nasunęły się L. Włodkowskiemu, który w momencie, gdy w kosmosie odbywały się rzeczy fascynujące całą ludzkość, wojażował z Włodzimierzem Parysem, naszym redakcyjnym fotoreporterem, Kujawską Koleją Dojazdową, zwaną pospolicie „ciuchcią”. Tak oto w jednej relacji spłótły się losy statków kosmicznych z popularnym „samowarkiem”. Autor obiecuje nam opis swych dalszych przygód i refleksji w kolejnym numerze „Odglasów”.

„Magicy także umierają” — to tytuł opowiadania, które nadesłał nam Ludwik Świeżawski. Pozwoliliśmy sobie zaproponować je Czytelnikom, gdyż jego lektura sprawi im niewątpliwą przyjemność. Na tej samej kolumnie przedstawiamy również wiersze Waldemara Chylińskiego i Władysława Zawistowskiego.

Skoro jesteśmy już przy sztuce, to kilka słów o muzyce. Fascynują nas w dalszym ciągu festiwale muzyczne, choć mnożą się one w sposób nie spotykany. Wciąż lakoniem dobrej piosenki, szukamy przebojów, ładnych melodii i wykonawców z prawdziwego zdarzenia. Satisfakcjonują nas i cieszą sukcesy naszych rodzimych, łódzkich artystów-muzyków. Tymczasem zginął nam z horyzontu jeden z naszych najlepszych zespołów. Co się dzieje z „NO TO CO”? O tym pisze dzisiaj Halina Batorowicz. Jej rozmowa z Janem Stefankiem uchyła rąbka tajemnicy i zainteresuje na pewno wszystkich melomanów, a może nie tylko ich...?

KONTRASTY



LUCJUSZ WŁODKOWSKI

DYSKRETNY CZAR KOLEI WĄSKOTOROWEJ

Jurek miał pilną sprawę do Warszawy. Godzinę siedział przy telefonie, usiłując uzyskać bezpośrednie połączenie. Po godzinie zrezygnował i zamówił rozmowę błyskawiczną. Czekal 2 godziny, a nie otrzymując połączenia zadzwonił do reklamacji.

— W pierwszej kolejności łączmy tych, którzy nie mają bezpośredniego połączenia z Warszawą — usłyszał w odpowiedzi na swoje pretensje.

— Cholera, prędzej się można połączyć z kosmosem niż z Warszawą — stwierdził, odkładając słuchawkę.

— Dziwisz się — powiedziała na to Ewa. — Oni tam łączą się w kosmosie, a ja nie mogę połączyć się telefonicznie z instytucją, która mieści się trzy ulice dalej. A ty chcesz szybko otrzymać połączenie z Warszawą.

„Życie Warszawy”, piątek, 18 lipca 1975 roku:

„225 km NAD POLSKĄ POŁA-CZYŁY SIĘ STATKI KOSMICZNE „Sojuz” i „Apollo”.

„Trudno określić dokładnie nad jakim punktem Europy doszło do ostatecznego połączenia amerykańskiego i radzieckiego statku. Wiadomo, że na wysokości 225 km. Wiadomo rów-

nież, że między Madrytem a Kijowem. Połączenie to stało się szczełne nad Polską”.

Nasz świat jest pełen paradoksów i kontrastów. Skala kontrastów wyznacza w naszym świecie tempo rozwoju. W niektórych dziedzinach życia przemiany dokonują się w ogromnym tempie. W innych tempo to jest zbyt powolne, a czasami prawie nijakie. I tak we współczesnym świecie współistnieją rzeczy i sprawy wyprzedzające naszą epokę obok tych, które zrodziły się w przeszłości i funkcjonują nadal.

Postanowiliśmy więc wspólnie z fotoreporterem — Włodzimierzem Parysem wyruszyć w poszukiwaniu kontrastów.

Dalszy ciąg na str. 5

HISTORIA OBYCZAJÓW

ZBIGNIEW
KUCHOWICZ

TAJNY ŚLUB

Radziwiłłowie czuwal. Według mojej hipotezy, przewidzieli przebieg królewskiej przygody, możliwe, że podstawili władcy kobietę, która nie odpowiadała jego gustom, która go zniechęcała. Może miała miejsce jakaś inna, zrezygnacja intryga. Można było na przykład uciec się do podania królowi jakiegoś środka, które spowodowały u niego przejściowe zmniejszenie się aktywności seksualnej, w rezultacie czego nie miałby więcej rozkoszy z inną kobietą. Wiedza dotycząca wzmacniania czy osłabiania popędu płciowego była wtedy bogata, o tych sprawach informowały zielniki i poradniki, znało rozmaite środki roślinne także leżnictwo ludowe.

Są to wszystko tylko domysły. Orientując się w ówczesnych obyczajach i klimacie życia dworskiego nie mogę jednak uwierzyć, by Zygmunt August przez dłuższy czas żył bez kobiety. (Wiadomo, że od codziennych stosunków nie mógł się powstrzymać jeszcze jako mężczyzna pięćdziesięcioletni) Nie mogę też uwierzyć, by Radziwiłłowie obojętnie patrzyli, jak jego łaski pragnie zdobyć inna kobieta. Uzasadnione wydaje się przypuszczenie, że świadomie zainscenizowali aferę, w rezultacie której król zniechęcił się do miłośnicy zastępującej Barbary.

O to właśnie chodziło. Radziwiłłowie swe żądania zerwania z siostrą traktowali bowiem jako manewr, wydaje się, że latem tego roku lepiej orientowali się w sytuacji, w nastrojach króla niż on sam! Godzę się z supozycjami, iż wierzyli, że miłość i pożądanie skruszą jagiellońskie przyrzeczenie. W tej grze mieli jeszcze inne atuty. Jest prawdopodobne, że do intrygi włączyli i siostrę, która mogła zgodzić się na odegranie roli swego rodzaju przynęty. Sprawa jest nader zawiła i subtelna, braci Barbary podejrzewam jednak o skrajny machiawelizm. Otóż mogli wmówić jej, lub też podtrzymać spóstrzeżenia, mniemanie Barbary, iż jest w ciąży. Wiedzieli, iż pragnienie posiadania potomka, wieść o ciąży Barbary, przełamie i skruszy wszelkie opory i przyrzeczenia królewskie. Wszystko wskazuje, że stało się tak, jak przypuszczali Radziwiłłowie i pewna swych zaję Barbary.

Soragłony swej niezastąpionej kochanki, powiadomiony o zmianie jej stanu August udał się do ukochanej nie zważając na swe przyrzeczenia. Na ten tylko moment czyhał intrygant. Według wszelkiego prawdopodobieństwa schwytanego in flagranti w sypialni siostry króla nakłoniono do małżeństwa. Otrzymanie przyrzeczenia małżeństwa przyszło im o tyle łatwiej, że Barbara, jak już wspomnieliśmy, poczuła się, czy też jej się to tylko wydawało (co bardziej wiarygodne), w odmiennym stanie. Można przypuszczać, że Zygmunt August godząc się na ślub kierował się mniemaniem, iż w tym momencie legalizuje swe ojcostwo, daje wiano jagiellońskie mającemu przyjąć na świat dziecko, nowemu, wyzakiwanemu panu i dziedzicowi Polski i Litwy. Wśród historyków istnieją rozbieżności w opinii, czy tajny ślub z Barbarą został zawarty tej samej nocy podczas tajemnej

Dalszy ciąg na str. 6

2

„W 1970 roku w poradniach zdrowia psychicznego zarejestrowano 507.668 pacjentów, w tym po raz pierwszy — 175.364. Na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia poradnie zanotowały niemal podwojenie się liczby pacjentów”. („Polityka” 19. V. 1973 r.)

CZĘŚĆ I

1.

Rodzice Marka są ludźmi z wyższym wykształceniem. On, inżynier, uważający się za prawdziwego mężczyznę. Ona, urzędniczka, kobieta wrażliwa i cicha. Nie była chyba zadowolona ze swego małżeństwa. Powrót męża z pracy — w którą zaangażowany był bez reszty — witała zawsze z niepokojem. Wieczorami otulała się kocem i długo w noc siedziała w fotelu, byle nie spotkać się z mężem w sypialni. Marka od wczesnego niemowlęstwa wychowywała ciotka, kobieta, która porzuciła własne dziecko. Kiedy chłopak miał 3—4 lata, przestał mówić głośno. Wybierał sobie spośród najbliższych jedną osobę i mówił do niej szepem, wprost do ucha. To samo powtórzyło się na kolonjach. W szkole Marek oddawał tylko prace pisemne. W pewnym momencie i tego zaprzestał. Pogorszenie stanu zdrowia chłopca wiązano z wydarzeniem w szkole, kiedy to na zajęciach w nauczyciel smagnął chłopca po nogach grubym, gumowym kablem.

Rodzice wprost szaleli, szukając ratunku dla swego jedynaka. Marek przeszedł przez szpital psychiatryczny. Poprawy nie odnotowano. I oto teraz, ten sam chłopak, który nie opuszczał domu przez długie miesiące, siedzi w restauracji w towarzystwie młodych ludzi. Jest ich gościem, przysłuchuje się rozmowom, uśmiecha się.

2.

W szczęśliwej rodzinie niekatolickiego duchownego jest dwu synów. Jeden to chluba ojca. Drugi był także jego chluba do trzeciego roku życia. Wówczas to małe popęknął drobna kradzież. Matka dostała ataku histერი, zasypała dziecko potokiem słów, powoływała się na normy moralne, których 3-letni syn zupełnie nie rozumiał. Wówczas to zapewne, a może nieco później, podczas przedszkolnych i szkolnych kradzieży, dokonywanych co jakiś czas, w pamięci chłopca utoczyły na stałe słowa doktryny religijnej: „nie jest potępiony ten, kto grzeszy, lecz grzeszy ten, kto jest potępiony”.

Chłopak ma dziś 18 lat i kradnie nadal. We własnym domu, w domach przyjaciół, w miasteczach publicznych. Tej słabości nie wybiła mu ciężka ojcowska i wspomagająca oja, braterska ręka. Czasami, kiedy ukrad-

nie, sprawca sam prosi o karę, utwierdzając się w ten sposób w przekonaniu, że jest dzieckiem złym. Chłopak jest aktualnie leczony. Kuracja trwać będzie długo.

3.

Miał w domu wszystko. Miłość rodziców, zabawki, książki, płyty. Tylko kolegów nie miał. A troskliwości matki miał aż nazbyt wiele. W wieku 16 lat (!) matka myła jeszcze jedynaka, nie zauważając, że chłopak jest absolutnie niezaradny życiowo, prawie jak inwalida. Nie wymagano od niego niczego z wyjątkiem dobrej nauki. Ale ten inteligentny chłopak uczył się średnio. Ukończył jednak VIII klasę. Trójkowe wyniki tak dalece nie satysfakcjonowały rodziców, że... wy-

roba kogoś z najbliższych, brak jednego z rodziców. Ale takich rodzin mały nie więcej niż 30 procent. Pozostałe to normalne, z pozoru dobre rodziny. A jednak i tutaj dochodzi do konfliktów odbijających się na życiu uczuciowym dziecka.

W tym typie rodzin zdarzają się np. rywalizacje między rodzeństwem o uczucia rodziców, np. kiedy jedno jest dzieckiem spełniającym wszystkie oczekiwania, a drugie czuje się „tym gorszym”. Jeżeli u takiego dziecka pojawiają się np. bóle głowy, to może być to sygnał stresu i dowód na to, że dziecko usiłuje w ten sposób wymusić na rodzicach lepsze traktowanie. Takich kombinacji mogą być setki. Najczęściej jednak źródłem zaburzeń są konflikty rodziców z dziećmi, pojawiające się w okresie dojrzewania. Wówczas to przeciw młody człowiek, naturalną koleją rzeczy, oddala się niejako od rodziców, szukając kontaktów z rówieśnikami, domaga się dorosłego traktowania. I wtedy też najczęściej w rodzinach odzywa się

HALINA CYWIŃSKA

NIEZAWINIIONA SAMOTNOŚĆ

musili na kuratorium powtarzanie klasy. Wtedy też zaczęły się prawdziwe niepowodzenia szkolne. Chłopak nabrał przekonania, że nie jest w stanie nauczyć się niczego i oczywiście oblał repetowaną niepotrzebnie klasę. Prowadzący chłopca specjaliści, w drugim roku terapii, wymogli na rodzinie przerwanie nauki na rok. Chłopak wrócił już do szkoły. Osiąga zadowalające oceny.

4.

17-letnia dziewczyna. Uczennica I klasy liceum. Idealna, ułożona córka i uczennica faworyzowana zresztą z tego powodu przez nauczycieli. Idealna i ułożona do pewnego czasu. Do tego mianowicie momentu, w którym u nastolatki narodziła się wielostronna ciekawość życia. Któregoś dnia przyszła po prostu później z zabawy, uważając, że skoro dobrze się bawi, może zostać trochę dłużej. I wówczas ojciec — zawsze silnie kontrolujący trzy swoje panie — żonę i córki — zrobił pierwszą tzw. karczemną awanturę. Powtarzały się odtąd przy każdym najdrobniejszym spóźnieniu młodziej, bo tylko ona przestała być idealna. Najpierw były to awantury, a potem zaczęły się próby wymuszenia całkowitego podporządkowania. Z ojcem solidaryzowała się także starsza córka, robiąc młodszą siostrze słowne wyrzuty. Któregoś dnia bezradna dziewczyna targnęła się na życie. Na szczęście zdążono z ratunkiem. Jest pod opieką specjalistów.

CZĘŚĆ II

Mogłabym tak długo jeszcze opowiadać o losach kilkuset młodych ludzi, zmieniając realia na tyle tylko, na ile jest to konieczne dla zapobieżenia identyfikacji. Ale i tych losów wystarczy, by pokazać powagę problemu. Opowiedziane tu losy są bardzo różne, ale dadzą się sprowadzić do wspólnego mianownika. Są to losy ludzi ZABURZONYCH EMOCJONALNIE. Po drugie: są to losy ludzi młodych, którzy nie ukończyli jeszcze 24 roku życia.

Po trzecie: są to losy młodych, w rodzinach których odnotowano takie lub inne nieprawidłowości wychowawcze.

Po czwarte: są to losy ludzi, którzy znaleźli ratunek dla swych cierpień.

Po piąte: są to losy ludzi leczonych SŁOWEM przez psychoterapeutów z Warszawskiego Ośrodka Terapii Rodziny.

Warszawa, ul. Czerniakowska 137. Na II piętrze starego, poklasztorowego budynku mieści się OŚRODEK TERAPII RODZINY, istniejący od 3 lat. Jego kierownikiem naukowym i od niedawna ordynatorem jest doktor Kazimierz Jankowski.

Dziwna to placówka, do której pacjenci trafiają wprost z ulicy, dlatego, że wiedzieli, iż coś takiego istnieje. Bywają też „kierowani” przez Telefon Zaufania, z rzadka przez specjalistów, niekiedy też zgłaszają się samorzutnie byli pacjenci szpitali.

Mówi doc. dr. Kazimierz Jankowski:

— Przy głębszych badaniach losów tej młodzieży zawsze okazywało się, że źródła zaburzeń tkwią w rodzinach. Sygnałem do szukania ratunku u nas bywają najczęściej niepowodzenia szkolne. Rzeczywiste i wydumane — bo i takie bywają. W ich tle znajdują się zazwyczaj nieprawidłowe stosunki panujące w rodzinach. Bywa, że rozkłada rodzinę alkoholizm ojca, cho-

CZĘŚĆ III

Ośrodek Terapii Rodziny jest placówką otwartą. Przychodzi się tutaj na zajęcia indywidualne i grupowe. Grupa terapeutyczna liczy nie więcej niż 10 osób (w przypadku zajęć dla



młodzieży) i nie więcej niż 10 rodzin (wraz z całym układem babć, wujków, a nawet „przyjaciół” rodziców, jeśli mają oni ścisły związek z zaistniałym konfliktem rodzinnym). Część zajęć prowadzi się tylko z młodzieżą, część dla rodziców i dzieci łącznie, są specjalne grupy tylko dla rodziców, tzw. maratony sobotnio-niedzielne. Przycho- dzą na nie rodzice w sobotę po południu, przynosząc jedzenie i pozostają w ośrodku do niedzieli wieczór. Podczas maratonów rodzice dyskutują ze sobą, lub kłócą się, uczestniczą w rozgrywaniu psychodramy, ale wychodzą z zajęć z innymi twarzami. Wielokrotny udział w takich zajęciach prowadzi do zrozumienia własnej sytuacji, „wylapania” popełnionych błędów. Konsekwencją tego jest zazwyczaj zmiana postępowania wobec najbliższych. Podobne są rezultaty pracy z grupą młodzieży. Bywa jednak, że rodzice nie przychodzą do ośrodka. Wówczas psychoterapeuci trafiają do rodzin sami. Wizyty w rodzinach są zresztą jedną ze stałych metod terapii.

CZĘŚĆ IV

Doświadczenia warszawskiego Ośrodka Terapii Rodziny nasuwają pewne pytania:

Czym dysponujemy na naszym gruncie w zakresie leczenia dla młodzieży nerwicowej? Jaką mamy koncepcję pracy z tymi, którzy pozostawieni samym sobie dziś, za parę miesięcy czy lat powiększą nam szeregi młodzieży społecznie niedostosowanej i przestępczej?

Szkolnictwo nie poradzi sobie samo z reedukacją tej części uczniów, a poradnie w zakresie wychowawczo-zawodowe istniejące w Łodzi nastawione są na inny rodzaj działania. Zresztą na jednego pracownika poradni przypada średnio w Polsce 4000 podopiecznych, zaś psychologowie stanowią tu tylko 37 proc. zatrudnionych.

Stawiając dziś podstawowe pytania o organizację opieki nad dziećmi i młodzieżą nerwicową, żyjemy równocześnie przekonaniem, że w Łodzi znajduje się wystarczająco aktywna grupa ludzi zdolnych podjąć konieczne działania.

Pytania te adresujemy do Wydziału Zdrowia i Kuratorium Okręgu Szkolnego, bowiem tylko współpraca obydwu tych instytucji przyniesie może rezultaty.

TRAGEDIA UCZONEGO

Dramat życia jednego z najwybitniejszych polskich historyków z końca XIX i początków naszego stulecia — o czym pisał w swojej ostatniej książce zasłużony badacz dziejów Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor Henryk Barcz. Poświęcił dzieło na wskroś osobie. Sam wychowanek Uniwersytetu Jagiellońskiego, wieloletni profesor tej uczelni, pasjonujący się jej przeszłością, człowiek związany tyłoma wiekami z krakowską tradycją humanistyczną, zaprzagnął wyświecić dramat jednego z najznakomitszych profesorów Wszechnicy Jagiellońskiej, uczonego, który równie szybko wznosił się na szczyty kariery naukowej i dostojności uniwersyteckich, jak z nich zryznowował, usunął się w cień, odszedł w zapomnienie, jakby przeżył samego siebie. Takie bowiem były dzieje Stanisława Smolki.

Syn wybitnego polityka galicyjskiego od dzieciństwa pasjonował się ojcowską historią. Zachwycał się dziełami Karola Szaimego, który potrafił swoją historyczną narrację obłoc w piękną, artystyczną formę. Wcześniej rozbudzone zamiłowanie uwarunkowały, że młody człowiek porzucił w ostatecznej klasie naukę gimnazjalną i w roku akademickim 1870/71 zapisał się jako student nadzwyczajny, a więc niepełnoprawny, na Uniwersytecie Lwowskim, gdzie już wcześniej na wykłady świętohabilitowanego docenta Ksawerego Lisieckiego oraz zajęcia z historii literatury polskiej, prowadzone przez znakomitego Antoniego Małeckiego. Nadzwyczaj wcześniej, bo w siedemnastym roku życia, debiutował swą pierwszą pracą drukowaną: była nią korespondencja z Lwowa wydrukowana w Tygodniku Wielkopolskim w 1871 r. w sprawach zresztą nie naukowych, ale politycznych, mianowicie walki z naciskami germanizacyjnymi w Galicji. Po pierwszej publikacji przysłył niebawem dalsze. Chłopiec przygotował się do matury, którą zdał z powodzeniem przed wakacjami 1871 r., następnie udał się na studia do Getyngi, sławnego wówczas ośrodka nauk historycznych, w którym królował, ciesząc się ogólnoeuropejską sławą historyk, wielki uczyony i nie mniejszy miłośnik dydaktyki, mediewista Georg Waitz. Był na seminarium historycznym Waitza, nie mówiąc już o uzyskaniu z ręki mistrza doktoratu, było to wówczas otrzymać ostrogę uczonego. Do Waitza ściągali młodzi adepci nauk historycznych ze wszystkich krajów, nie tylko z ziem niemieckich, ale z Francji, Włoch, Szwajcarii, Holandii, a także z Polski, znajdując się pod zaborem. Uczniem Waitza był w Warszawie profesor Cesarskiego Uniwersytetu, wybitny pozytywistyczny historyk Adolf Pawłowski.

Z Lwowa podążył do mistrza młody S. Smolka, pod jego kierunkiem podjął samodzielne studia nad czasami piastowskimi. W pierwszym roku pracy napisał studium o Henryku Brodatym, które mistrz tak wysoko ocenił, że zaproponował ogłoszenie go drukiem w niemieckim śląskim czasopiśmie historycznym. Młody autor propozycję tę odrzucił, a rzecz ukazała się osobno, po polsku, w listopadzie 1872 r. w Lwowie. Rychło nastąpiły kolejne publikacje, a w następnym roku doktorat. Autor miał wówczas lat dziewiętnaście. W wieku lat dwudziestu jeden został docentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, w rok później otrzymał katedrę. Mając dwadzieścia sześć lat był członkiem Akademii Umiejętności. W 1890 r. został jej Sekretarzem Generalnym, w pięć lat później dostąpił zaszczytu piastownia berta rektorskiego najstarszej polskiej uczelni. Okazał się nie tylko znakomitym badaczem — jego dzieło o czasach Mieszka Starego, napisane w pośpiechu, na konkurs, ogłoszony przez Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu, gdzie uzyskało pierwszą nagrodę, ogłoszone w 1881 r. należy po dziś dzień do klasycznych, wzorowych monografii historycznych i dlatego było wznowione w PRL.

Nadchodzi zagadkowa choroba, do dzisiaj nie wyjaśniona w pełni załamanie się systemu nerwowego uczonego. Historyk zdobywa się na odważne decyzje: składa jedno po drugim stanowisko, najpierw w Ekspedycji Rzymskiej Akademii Umiejętności (1891), później, w 1893 r., godność Sekretarza Generalnego AU, podaje się na emeryturę w Uniwersytecie, katedrę historii polskiej, którą piastował po Józefie Szujskim, obejmując w 1906 r. Wiktor Czerniak. Uczony usuwa się z oficjalnego życia naukowego, choć stara się wciąż, w miarę sił i możliwości, czynnie pracować naukowo. „mienia swą naukową specjalizację: on, oświeceniowy stawał się średniowieczny, wychowawca sporej gromadki mediewistów, którego uniwersyteckie zajęcia z historii średniowiecznej stanowiły główny tytuł do sławy wśród krakowskiej braci studenckiej, rzucił się do historii nowożytnej, w owych czasach tak rzadko uprawianej. Pracuje nad monografią o Franciszku Ksawerym Druckim — Lubekim, przygotowuje edycję jego korespondencji. Sprawuje mniej eksponowane funkcje dyrektora archiwum, dyrektora Biblioteki Czartoryskich, Boryka się z ustawicznymi kłopotami materialnymi, brnie w coraz większe długi.

Podczas wojny próbuje działalności politycznej, uprawia historyczną publicystykę, ale nie wszystko co czyni, robi z powodzeniem. Słara się o wykłady na swojej uczelni. Nie spotyka się one z takim, jak niegdyś powodzeniem, a zresztą wrócić z małostkowymi względów i ta forma aktywności zostanie dlań zamknięta. Ciężko schorowany człowiek obejmuje w 1919 r. historyczną katedrę w nowo powstałym Uniwersytecie w Lublinie. Po raz trzeci i ostatni wznawia działalność profesorską. „Chory i goniony resztkami sił, przy mocno osłabionym wzroku, pracował mimo to, przywołany do gmachu Uniwersytetu i wnoszony na katedrę” — pisze H. Barcz. Zmarł 27 sierpnia 1924 r. niemal zupełnie zapomniany.

ANDRZEJ F. GRABSKI

Zdjęcia: ARCHIWUM

ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ MARII SIWIŃSKIEJ

Maria Siwińska urodziła się 21 czerwca 1921 roku. W 1966 roku otrzymała wyróżnienie na Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Człowiek i Tkackiego” w dziale opowiadań. Debiutowała w roku 1967 w almanachu literackim „Wiadukt”.

W 1968 roku w Wydawnictwie Łódzkim ukazała się pierwsza książka Marii Siwińskiej — zbiór nowel zatytułowany „Dolina pełna wiatrów”. Etnograficzne zainteresowania autorki „Doliny...” znalazły swoje odzwierciedlenie w tematyce nowel. Prototypy kowala czy dziadka Okraszkę spotykała Siwińska na trasie swych wakacyjnych „kolbergowskich” wędrówek; „obserwowała” zmiany, jakie zachodziły w mentalności ludzi ze wsi pod wpływem bezpośredniego zetknięcia się z cywilizacją miasta. Bohaterowie jej nowel są ludźmi uwikłanymi w konflikty nieuchronnie powstające wszędzie tam, gdzie tak zwana „nowoczesność” zbyt gwałtownie napiera na tradycję. Wiek jest „rezerwatem” tradycyjnych norm moralnych, dawnych wartości, które przez przybyły z miasta poddawane są w wątpliwość, lub wręcz ignorowane. (Tętno przykład w noweli „Letniaki”). Wiele społeczeństwo połączona silnymi więzami, tworząca niby jedną rodzinę (wyrzecz tego może być wesele w noweli „Tęczy most”) zda się być skazana na zagładę. Z konfrontacji z jedną z nieludzką, „zmaturalizowaną” cywilizacją miejską świat wielkiej kultury wraz z całą warstwą mityczną wychodzi zwycięsko. Przemysłowy urok tradycji zostawia głęboki ślad w psychice ludzi młodych, chcących wyrwać się z wiejskich opłotków w szeroki świat wielkiej nauki czy wielkiego przemysłu. Wiek przyzywa ich z powrotem symbolicznym obrazem „ogni strzegących”, zamykających pierwszą książkę Marii Siwińskiej.

Opowieścią o powrocie, który staje się celem, jest pierwsza powieść Siwińskiej: „Drzewa chyły się tylko w jedną stronę”, wydana w roku 1970. Anonimowość głównej bohaterki powieści sprawia, że problemy jej nabierają charakteru uniwersalnych.

Schemat prosty i znany: Polka wyrusza do Australii na ofertę matrymonialną. Decyzja porzucenia ojczyzny i pracy naukowej spowodowana została ogromnym, przeżytym w kraju, zawodem miłosnym. Dziewczyna postanowiła na obcym gruncie wśród obcych ludzi rozpocząć „nowe życie”. Poznajemy ją na ławce w Peters Cathedral, kiedy rozczarowana australijskim narzeczoną i przekonana o swojej niemożności przykroć do swoich warunków, postanawia zdobyć pieniądze na bilet powrotny do kraju. Dziewczyna podejmuje rozliczne próby zdobycia pieniędzy, w czasie jednej z nich poznaje starego Polaka — Johna, w którego rozpala płomień nostalgii. Odtąd wspólnie szukają „skarbu”. Nazwano tę historię, i chyba słusznie, „Poetycką przypowieścią o tragicznych losach emigrantów polskich” (M. Szybist).

Paralelnie do losów dziewczyny i jej przybranego ojca potraktowana została przez autorkę próba prześledzenia polskiej rzepy na grunt australijski. Wszelkie wysiłki bohaterki, botanika z zawodu, by urato-

wać rzepę, kończą się niepowodzeniem. Człowiek, podobnie jak roślina, nie może żyć we wrogich swojej naturze warunkach. Wśród Australijczyków, dla których jedyną wartością jest pieniądź, wrażliwa, subtelna dziewczyna nie znajduje dla siebie miejsca. Bakcył pogoni za pieniądzem (aczkolwiek cel, który temu przyswieca, jest szlachetny) przestaje się do „organizmów” dziewczyny i Johna. Dopóki osobno stawiali czoła przeciwnościom losu, nie sprzyjało im szczęście, zaś od momentu, w którym zaczęli sobie pomagać, fortuna stała się dla nich łaskawą panią.

Narracja powieści jest rwąca, zartęte kontury opisywanych sytuacji nakładają się na siebie. Wątek australijski przerywany jest raz po raz wątkiem retrospektywnym: na egzotyczny obraz kraju kangurów nakładają się obrazy Łodzi, kraju zabużańskiego, czy wsi nadtanewskiej. Dzięki temu ta realistyczna z pozoru powieść wydaje się być baśnią o współczesnych poszukiwaczach skarbu.

„Niebieska ziemia” — to trzecia z kolei książka Marii Siwińskiej, wydana w Łodzi w 1972 roku. Znowu bohaterami jej są ludzie wyrwani ze swego naturalnego środowiska, szukający dla siebie miejsca w nowym świecie. Młode małżeństwo Litwinów, ona jest Polką z pochodzenia, przyjeżdża do wymarzonej ojczyzny. Rzeki, rzeczywistość, jak zwykle, nie odpowiada jej wyobrażeniom. Bohater powieści jest wiertnikiem, który na Litwie szukał złóż bursztynu, a tu, w Polsce, znajduje się z „Wielką Miedzią”. Ona — popularna na Litwie śpiewaczka nie znajduje z początku uznania w polskiej publiczności, pracownice i upórczywie walczy o miejsce w zespołach operowych. Obecność społeczeństwa, trudności w nawiązaniu kontaktu z otoczeniem — oto, co utrudnia pierwsze kroki bohaterów w nowej ojczyźnie. Oboje umiłowali kulturę litewską, litewskie pieśni i mity. I znowu narracja zdarzeń dziejących się w Polsce przerywana wspomnieniami litewskich krajobrazów, ludzi pracy, które są źródłem obecnych poczynań bohatera. Kobieta o wiele szybciej wtapia się w polskie społeczeństwo, zdobywa znajomych i przyjaciół. Mężczyzna silnie tkwi w odziedziczonej po matce tradycji, której symbolem jest bursztyn. Przepadkowe odnalezienie złóż bursztynu w trakcie poszukiwania miedzi pozwala bohaterowi pogodzić się z nową ojczyzną, pokochać jej ziemię, która w „niebieskim pyłku” kryje miedź i bursztyn zarazem.

Tematyka prozy Marii Siwińskiej jest zatem bardzo różnorodna. Bohaterowie pochodzą z różnych środowisk i narodowości. Łączy ich jedno: silne przywiązanie do tradycji, w której się wychowali, co wzbogaca albo uniemożliwia ich związek z „nowym”. Autorka, urodzona na Wileńszczyźnie, chętnie umieszcza na kartach swych książek ludzi i krajobrazy z tamtych stron. Ostatnim dowodem jej związków z krajem lat dziecińczych jest przetłumaczona z litewskiego powieść Wyntasa Srijosa-Giry „Babie lato” (Łódź 1973).

ANNA SZWEDZIAKÓWNA

HISTORIA OBYCZAJÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

wizyty (tak m. in. uważa Ludwik Kolankowski), czy też, że Radziwiłłowie wpłynęli tylko na zawarcie związku, lecz odbył się on później, bez bezpośredniego przymusu moralnego (tak twierdzi Józef Jasnowski).

Wszystkie historycy opierają się na anonimowej kronice ówczesnej, mniej lub bardziej dosłownie interpretując zamieszczone w niej szczegóły. Kronikarz opisuje zaś zdarzenie następująco:

„Król (Radziwiłł) obiecał do niej nie chodzić i nie chodził przez czas dłuższy. Potem krewkością przyrodzonej długiej żalozie nie mógł i poszedł do niej nocą samotnie. A panowie Radziwiłłowie pilnie tego strzegli i gdy król do siostry ich wszedł, oni natychmiast zjawili się przed nim i rzekli: „Miłosciwy królu! Przysięgłeś do siostry naszej nie przychodzić, przez więc teraz tu jesteś? A król na to: A kto wie, czy obecne moje przyświe do siostry waszej nie przyniesie wam wspomnienia sławy, czci i pożytków waszych. Oni rzekli: Boże to daj — i natychmiast przywali plebaną, który był na to przygotowany, i zaślubił króla z swą siostrą w tajemnicy, tak że nikt ani z panów Rady, duchownych i świeckich, ani też z dworu królewskiego o tem nie wiedział, z wyjątkiem Radziwiłłów, Kiełgajła i księdza, który ślub dawał”.

Przechyliam się do zdania Jasnowskiego, że ślub nie odbył się nagłe, podczas tajnej schadzki. Zygmunt August był człowiekiem nabytym inteligentnym, krytycznym, by pozwolić się zaślubić jak jakis gromi, czy młodzieniaszek, który pierwszy raz ma do czynienia z kobietą, którego można zastraszyć, zmusić.

ta merecki Stanisław Dowojno. Nie był on bynajmniej dyplomowanym medykem, tylko trudnił się leczeniem, posiadał wszakże zaufanie tak Radziwiłłów jak króla, w którego najbliższym otoczeniu znajdował się od kilku lat. Postać to trochę tajemnicza i kontrowersyjna. W listach i deklaracjach jawi się jako lojalny i supergoliwysługa Barbary i króla. Wiele wskazuje, że był to jednak przebiegły dworak, dyskutujący okazywane mu zaufanie celem zrobienia kariery.

19 listopada kawalkada powozów i koni, wioząca wymienione osoby wraz z służbą, wyruszyła wczesnym rankiem z Wilna kierując się do Dubinek. Później, ze względu na porę roku, trwała aż szesnastego dnia, do zamku dobiegła późną nocą. Rozstanie z mężem i trudy podróży podzieliły na Barbarę niekorzystnie. Popadła w rozdrażnienie, wybuchła „haczem”, może z żalu, ale może i z gniewu. Jechała przecież jak na wygnanie, w zupełnej niepewności dalszych losów. Nazajutrz po przybyciu, to jest 20 listopada, nasza bohaterka ponoć poroniła, przez cały tydzień leżała pośród objawów chorobowych, przejawiających się spazmami, bólami i omdleniami. Nie jestem przekonany, czy rzeczywiście nastąpiło poronienie, przyjmuje się, że okres ciąży był wczesny. Przypuszczam, że mieliśmy do czynienia raczej z krwawieniem czy nawet krwotokiem występującym na innym tle, do sprawy tej jeszcze powrócę. O rzekomym poronieniu donosi tylko list Dowojny, który nie był przecież rutynowanym lekarzem. Nie ma więc pewnych podstaw do przyjmowania poglądu, że Barbara znajdowała się w ciąży.

Pobyt w Dubinkach, ze względu na perypetie związane z ogłoszeniem mał-

W pierwszych dniach kwietnia pojawił się niespodziewanie goniec królewski z listem Augusta wzywającym Barbarę do natychmiastowego powrotu do Wilna. List nie pódawał przyczyn tak nagłej decyzji, król żądał tylko, by Barbara przybyła najpóźniej. Dodał, że „sic, astra voluit” (tak chcą gwiazdy, czyli przenośnie — losy) i polecał, by przybyła potajmniej, a za trzydzieści dni w rezydencji radziwiłłowskiej.

Nasza bohaterka posłusznie wykonała, tak mile zresztą dla niej, polecenie. Przyjechawszy do stolicy domysliła się powodów tak nagłego wezwania. Oto 1 kwietnia 1548 roku, po przeszło czterdziestoletnim panowaniu, zszedł ze świata król Polski i najwyższy książę Litwy Zygmunt Stary. Wiek o tym przyszedł do Wilna posłańcy z Krakowa 5 kwietnia. Wilno okryła żałoba, w oświetlonych tysiącami świec świątyniach ustawiono mary, przy których odprawiali się żałobne nabożeństwa, żałobę po śmierci ojca przywdział syn, teraz już samowładny, jedyny król Polski i wielki książę Litwy. Choć nawet i bał nad zgonem rodzica, to wiedział, że z tą chwilą może ujawnić swe śluby z Barbarą, zrealizować swe osobiste życzenia. Nie dziwiłby fakt, że w kwietniu okazał energię, przejął ster państwa.

Pierwsza jego myśl, pierwsza faktyczna decyzja dotyczyła jednak Barbary. Zygmunt August postanowił bowiem teraz otworzyć i uroczystie przedstawić ją jako żonę. Przez kilka dni przebywała ona potajmniej w dworcu radziwiłłowskim, o jej pobycie wiedziało tylko wąskie grono zaufanych osób. Król starannie przygotował i wyreżyserował ogłoszenie swego małżeństwa. 17 kwietnia zwołał dygnitarzy i

ZBIGNIEW KUCHOWICZ



Barbara i August w Majejki

Zaślubiny podczas schadzki wyglądałyby na jaskrawy szantaż, przymus, a co podobnego król nie mógłby się zgodzić. Nie sądzę jednak, by między schadzka a tajnym ślubem istniał dłuższy przeciąg czasu. Mniemam, że nastąpił on wkrótce, jakieś kilka dni po opisanym zdarzeniu. Przypuszczenie swe opieram na wierze w skuteczność i sprawność metod radziwiłłowskich z jednej strony, a z drugiej na woli i chęci Zygmunta Augusta. Wierzę, że król sam chciał jak najszybciej zawrzeć formalny związek, który by go wyzwolił z niepokoju, irytacji i tęsknoty.

Ścisła data tych zaślubin nie jest ustalona. Dawniejsi uczeni (Kolankowski, Bogatyński), biorąc pod uwagę cytowane poprzednio dementi króla, dotyczące zaślubin Barbary, złożone w rozmowie z Tarą, najpóźniej około 20 sierpnia 1547 roku, przyjmowali, że ślub nastąpił później, w końcu sierpnia lub na początku września. Późniejsze badania wykazały jednak, że Czarzy Radziwiłł, który wyjechał do Polski by jedną zwoleńniczką nowo zawartego małżeństwa, już 21 sierpnia był w Sandomierzu, z Wilna musiał więc wyjechać około 10 sierpnia. Stąd też Pocięcha, za nim Wdowiszewski, przyjmując, że ślub odbył się między 28 lipca a pierwszym tygodniem sierpnia, Jasnowski termin ślubu przesunął nawet na czwartek lub początek lipca. Nie chodzi tu o różnicę dni czy tygodni, tylko o prawdziwość przedstawionego wystąpienia Zygmunta Augusta wobec Tary, w którym, jak wiemy, wzywał Boga, na świadka swych słów zapewniał, że nie myśli poślubić Barbary. Jeśli stanąć na gruncie ostatnich ustaleń można twierdzić, że król dopuścił się wielkiego kłamstwa zaklinając się, że nie ożeni się z kobietą, która w tym czasie była już jego żoną!

Przez kilka tygodni Barbara zażywała, aczkolwiek tajnego, to przecież małżeńskiego szczęścia. W listopadzie nastąpiło rozstanie. Zygmunt August, który udawał się do Polski, by przygotować grunt dla ogłoszenia swego małżeństwa, postanowił umieścić żonę w bezpiecznym, spokojnym miejscu. Już wtedy obawiał się bowiem zdrady i zamachów. Po naradach zdecydowano się na Dubinki, posiadłość Radziwiłłów położoną o jeden dzień drogi od Wilna. Znajdował się tam stary zamek otoczony wokół pięknym, ościnionym lasami jeziorami. Było to miejsce istotnie bezpieczne lecz nader odludne, kontrastujące z gwarnym Wilnem. Barbarze miała towarzyszyć najbliższa rodzina: matka oraz brat Mikołaj Rudy. Funkcje lekarza i opiekuna spełniał zaś starszy-

żęństwa, przeciągnął się na całe miesiące. Był to wyjątkowo trudny, nieprzyjemny okres w życiu Barbary. Była przecież ślubną żoną króla, lecz całą rzecz chowano w tajemnicy, w Dubinkach trzymano ją niby w więzieniu, odizolowano od świata, od ucieczki, do których przywykła, stąd nie potrafiła jej uspokoić, brat Mikołaj urządził sobie pobyt pijańkami urządzającymi wraz z Dowojną, deprymującą działającą także zimowa aura. Jezioro zamarzyło i w związku z tym podwojono czujność, postawiono dodatkowe stráže, co zdaje się być jeszcze bardziej demoralizujące. Do Dubinek docierali też plotki, że król ma już inną miłośniczkę, że jej rola w życiu Jagiellona już skończona, cały kompleks przyczyn spowodował, że po spazmach i omdleniach popadła w dzwawstwo, zacięła świetne szaty i chodziła w bernardynskim habicie, wstawiała już przed światem i udawała się do zamkowego kościoła, gdzie trawiała czas na modłach i medytacjach, później rozdawała hojne jałmużny.

Czy nie było innych konsekwencji tego osamotnienia? Z wzmianek w późnej korespondencji Radziwiłłów, z pewnych napomykań można suponować, że Barbara dopuściła się w Dubinkach tak zwanej niewierności małżeńskiej; ewentualność tę bierze pod uwagę znawca jej biografii Władysław Pocięcha. Są to tylko poszlaki, jeśli jednak kiedykolwiek „zdradziła” Zygmunt Augusta, to mogło to nastąpić tylko w Dubinkach. Znamy młode lata i przygody Radziwiłłówny, trudno w wierzyć, by po ślubie raptownie się zmieniła, by stała się zwolenniczką bezwzględnej, małżeńskiej wierności. Żyjaca dotąd intensywnie Barbara została pozbawiona satysfakcji, do których przywykła od lat, zmuszona była do abstinencji piciowej.

Zygmunt August nie zapomniał o ukochanej. Począł ślać do niej listy i prezenty z dalekiego Krakowa czy Piotrkowa, czuwał nad jej codziennymi sprawami. Te dowody pamięci i miłości spowodowały, że odzyskała rychło wiarę w stałość i wielkość Augustowego afektu, że zaczęła jaśniej spoglądać w przeszłość. Z czasu pobytu w Dubinkach zachowały się jej listy, w których czule i serdecznie zapewnia o swej miłości, podpisuje je jako „wierną sługę”, „niewolniczkę królewską” — posyła ukochanemu pierścienie i tak lubiane przez niego zegarki.

Przeszła zima. Król powrócił do Wilna, lecz nie wzywał żony. Można sobie wyobrazić, jaki nowy niepokój powstał w umyśle Barbary. Wiosna 1548 roku okazała się jednak dla niej szczęśliwa.

panów litewskich do zamku wileńskiego na wielką naradę. Pretekst stanowiło omawianie spraw państwowych w związku z jego wyjazdem dla objęcia tronu w stołecznym Krakowie. Przewodniczył na niej August, bacznie czuwając nad przebiegiem i czasem obrad. O godzinie pierwszej w południe, nie otrzymał od pokojowca wiadomości, po której natychmiast przerwał obrady i powstawszy z tronu złożył oświadczenie dotyczące swego małżeństwa. Wyjaśnił, że z pewnych powodów tał swe śluby, obecnie jednak uroczysto ogłasza, że Barbara, wolewodnia trocka, jest jego żoną, obrządkiem chrześcijańskim, w obliczu jej krewnych, oddana w małżeństwo. Po czym zbliżył się do przedsionka, otwarty się wówczas drzwi, w których ukazała się oczekująca na tę chwilę Barbara. August powitał ją uroczysto i wprowadzając do sali wezwał Radę, by oddawała jej cześć „jako królowej i pani”.

Rada osłupiała. Wiele mówiło się o planach królewskich, nawet o sekretnym ślubie, nie było to jednak pewne wiadomości. Dla dygnitarzy litewskich, których większość znała Barbarę od dziecka, wezwanie, by czcili ją jako „królową i panią” było nieco szokujące. Musieli dopiero ochłonąć, przyzwyczaić się do tej sytuacji. Przede wszystkim zazdrościli wyniesieniu Radziwiłłów. Wszystko wskazuje, że deklarację królewską przyjęto w pełnym rezerwy milczeniu. Nie było jednak żadnych demonstracji, na Litwie liczone się z wolą wielkiego księcia i nikt z panów nie ośmielił się słówkiem kwestionować prawomocności zaślubin.

Trzydzieści dni cieszyli się sobą, trzydzieście razy zamkowe zegary wybijały im północ. 30 kwietnia rano król pojechał żonę udając się w drogę do Krakowa. Jechał przejąć władzę, objąć spuściznę ojcowiska, zasiąść na tronie Bolesławów, Kazimierzów, Władysławów. Przybywał, by w przyszłości spełnić wielką rolę w rozwoju polskiej kultury, przyczynić się do wprowadzenia tolerancji wyznaniowej, kierować wielkim dziełem unowocześnienia państwa. Wszystko jednak wskazuje, że podczas tej podróży jeszcze nie to sprawy i cele zatrudniały jego myśli, jeszcze nie w nich miała się ujawnić mądrość i wola ostatniego Jagiellona. Podążał bowiem rozważając, jak zapewnić ubóstwianej kobiecie umianie w Polsce, jak wprowadzić na legendarny Wawel. Nad ich małżeństwem zbierały się groźne chmury.

(D.c.n.)

Dalszy ciąg ze str. 1

1.

"Głos Pracy", piątek, 18 lipca 1975 roku:

"O 17.03 na ekranach telewizorów pojawił się jasny pas Ziemi i dobrze widoczne na jego tle oba statki. Słychać było głos Stafford: „I am approaching Soyuz”. Później — „Oceń charaszo Moskwa”. „Very good, Houston” — pozdrawiali się kontrolerzy lotu.

Oba statki dzielą już tylko centymetry. Jeszcze chwila, widać lekki wstrząs. Godzina 17.12 — „Soyuz” i „Apollo” tworzą jednolity, ważący 21 ton i mierzący 21 m długości pojazd kosmiczny.

W nocy z czwartku na piątek kosmonauci o godzinie 0.20 (czasu warszawskiego) nastawili budziki na 7.44 i jednocześnie położyli się spać.

W piątek rano nad Łodzią wstało słońce. Zapowiadał się pogodny dzień. W ozorkowskim tramwaju ludzie spokojnie dosypiali. Wyładowaliśmy w Ozorkowie o godzinie 5.30.

— Jak tu dojść do dworca centralnego?

— Prosto, potem na lewo i dalej prosto aż do samych torów.

Popełniliśmy błąd w nomenklaturze. Dworzec Centralny mieści się w samym centrum miasta, ale jest to dworzec kolejki wąskotorowej. Z dworca kolei szerokotorowej wróciliśmy już „ciuchcią”. Białe pomalowane baraki nie zasługują na miano „Ozorków Centralny”, ale tak się nazywa. Kto nie wie, gdzie ten barak się mieści, łatwo go nie znajdzie.

Włodek Parys robi pierwsze zdjęcie wąskotorowej lokomotywy, ale maszynista ma niejakie obiekcje.

— W zasadzie zdjęć na kolei nie wolno robić.

— A bo to kolej?

— A pewnie, że tak.

Sprawdzamy na bilecie. Piszemy wyraźnie: „PKP KUJAWSKA KOLEJ DOJAZDOWA 2 kl. poc. osob.”

Wagony kolejki powoli zapełniają się. Start z OZORKOWA CENTRALNEGO — 6.24. Jest dopiero 6.10. Ludzie mają tu widać swoje stałe miejsca. Zbierają się po kilku, aby gra w karty, rozmawiać, umilać czas podróży. Właśnie zbiera się ekipa do „tyśsiaka”. Najpierw gazety, aby zorientować się, co ciekawego wydarzyło się na świecie.

— Co piszą o kosmonautach? — pyta mężczyzna tasujący karty.

— Nie widziałem wczoraj w telewizji?

— Nie, nie miałem czasu.

— Połączymy się.

— To i dobrze. Ale, ile kosztuje taki wspólny lot?

— Dużo. Kto wychodzi?

W Ozorkowie są cztery dworce. Jeden kolej normalnej i trzy kolei wąskotorowej: CENTRALNY, MIASTO i OZORKÓW WASK. Ten ostatni mieści się naprzeciw dworca kolej normalnej, czyli w tym wypadku szerokotorowej. W OZORKOWIE WASK. jesteśmy o 6.35.

„Głos Pracy”, piątek, 18 lipca 1975 roku:

„W chwili startu „Apollo” „Salut-4” znajdował się na południe od Australii. W 25 minut później przeleciał nad Ameryką Południową”.

W 25 minut później dojeżdżaliśmy do Borka Łęczyckich, a o 7.11 byliśmy w Łęczycy. Za Łęczycą nasz pociąg wąskotorowy zaczął się opróżniać. Dojeżdżają nim przede wszystkim ludzie do łęczyckich kopalń i do zakładów pracy Łęczycy i Ozorkowa.

O 8.08 byliśmy w Krzewiu Wask. i jakiś czas jechaliśmy równolegle do szerokotorowej kolei Kutno — Poznań, aby potem przeciąć trasę szerokotorówki i o 8.20 wyładować na dworcu „KUJAWSKIEJ KOLEI DOJAZDOWEJ” w Krośniewicach. Dwie godziny jazdy i pierwszy etap naszej podróży mieliśmy za sobą.

2.

KROŚNIEWICE leżą na skrzyżowaniu dwu szlaków: „Transpolonia” czyli „E-8” i „Szlaku Śląsko-Baltyckiego” czyli „E-16”. Ruch tranzytowy tu duży. Szczególnie teraz, latem, kiedy ludzie jadą nad morze, w góry i na Zachód — na wycieczki zagraniczne te bliższe do NRD, CSRS i te dalsze.

Gospodę Krośniewice mają małą, ciasną. Piwo sprzedaje się dopiero od godziny 10. Jest też kawiarnia, ale w kawiarni akurat „Sprzątanie lokalu”. Bieda z tym niewielką, bo po sprzątaniu też nie ma co pić.

W gospodzie kilku turystów, którzy zatrzymali się tu na śniadanie.

— Tuż obok Urzędu Miasta i Gminy Krośniewice — mówi naczelnik miasta i gminy Jan Tomczak — buduje się Wiejski Dom Towarowy wraz z restauracją i kawiarnią. Bardzo to nam potrzebne, ale spóźnione przynajmniej o 10 lat.

— Tak długo trwa budowa?

— Nie. To jest opóźnienie w stosunku do potrzeb Krośniewic, leżących przecież na bardzo uczęszczanych szlakach komunikacyjnych. A spóźnienie w cyklu budowy wynosi 2 lata. Mamy jednak nadzieję, że do 31 grudnia 1975 roku wszystko będzie gotowe.

— Nowy Rok będziecie mogli spotkać już w nowej restauracji. Ale czy jeden taki lokal rozwiąże potrzeby Krośniewic?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

DYSKRETNY CZAR KOLEI WĄSKOTOROWEJ

Grupa autostopowiczów oraz czekający na piwo tubylecy.

„Trybuna Ludu”, piątek, 18 lipca 1975 roku:

„Według rozkładu lotu, dowódca „Sojuza” Aleksiej Leonow uściślał krótko po godz. 20 dłoń dowódcy „Apollo” Thomasa Stafford. Ten historyczny moment, który rozpoczął dwie doby wspólnej działalności na orbicie był transmitowany na żywo przez telewizję. Obejrzała go jak się ocenia, 1/3 mieszkańców naszego globu”.

— Bogdana wczoraj było — zwierza się sąsiad od następnego stolika. Mówi to ni to do nas, ni to do swego partnera, z którym razem czekają na piwo. — Czy można było oglądać tych tam w kosmosie. Nie było czasu. Popieć trzeba było za zdrowie solenizanta, aby mu się w życiu poszczęściło. A dziś trzeba się leczyć. Piwem najlepiej.

— Ale piwa nam nie podają — żali się już wyraźnie do nas jego partner od stolika i kaciowej niedoli. — Bo tu piwo można pić tylko z kaską. To niech już podadzą te przechodnie kanapki. To są takie kanapki, które zamawia się, żeby formalnie wszystko było. A potem ich się nie je. Kelnerki sprzątają i podają następne.

Chwilę milczą obaj, uważnie oglądają Parysowe aparaty wystające z niedopiętej torby.

— Kryśka. Dajże już te piwa z kanapką! — woła do bufetowej ten, który opowiadał o „przechodnich kanapkach”. — Tu są dwa panowie z telewizji. Zaraz zrobisz ci zdjęcie i w sobotę będziesz w telewizyjnym dzienniku.

Nie protestujemy. Niech będzie, że jesteśmy z telewizji. Kończymy śniadanie, placimy i wychodzimy. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że przyjdzie nam bez naszej woli i udziału wciąć się w inne jeszcze postaci.

— Nie. Miał być przy trasie „E-8” budowany motel. Bardzo tu potrzebny.

— Nie będzie?

— Są na to decyzje rządowe. Ale przy reorganizacji zaginęły plany zagospodarowania parku w Krośniewicach. Częścią tego planu był motel. Plan ten był w posiadaniu byłego Wojewódzkiego Komitetu Kultury Fizycznej, Turystyki i Wypoczynku. Wojewoda płocki bardzo prosił o odnalezienie tych planów. Jak na razie to nam się nie udało.

„Życie Warszawy”, środa, 23 lipca 1975 roku:

„Z napływających informacji o rezultatach eksperymentu „Sojuza — Apollo” wynika, że bardzo pomyślnie zdali egzamin nie tylko kosmonauci Leonow i Kubasow, ale także systemy pokładowe „Sojuza-19”. Znakomicie przebiegało też współdziałanie dwóch centrów kierowania eksperymentem „Sojuza — Apollo”, znajdujących się na różnych kontynentach”.

3.

KROŚNIEWICE — jak się okazało — są nie tylko miastem leżącym na skrzyżowaniu dwu szlaków komunikacyjnych, ale też są siedzibą ZARZĄDU KUJAWSKIEJ KOLEI DOJAZDOWEJ. Przyznaliśmy się ze skrupułem, że fakt był nam raczej nieznamy, że byliśmy skłonni podejrzewać, że siedziba takowej kolejki powinna być raczej znajdować się we Włocławku, jako że to samo centrum Kujaw, ale skoro jest inaczej...

Podjęliśmy zatem męską decyzję. Przerwywamy podróż w poszukiwaniu kontrastów i idziemy na ulicę Kolejową w Krośniewicach, aby poznać całą prawdę o KUJAWSKIEJ KOLEI DOJAZDOWEJ.

Kolej ta obejmuje teren położony przede wszystkim między wioskami, jakie tworzą linie szerokiej kolei: Kutno — Toruń i Kutno — Poznań, wybiegając w dwu miejscach poza to rozwidlenie, w przypadku linii Krośniewice — Ozorków i Września — Pyzdry. W 6 punktach sieć kolejki wąskotorowej styka się z koleją szeroką: w Gnieźnie, Wrześni, Kole, Ostrowach, Włocławku i Nieszawie. Tutaj dokonuje się przeładunku towarów z dużych wagonów na małe, albo po prostu duże wagony wpycha się na specjalne transportery i lillipucie lokomotywy ciągną te kolosy po wazlutkich szynach.

Ten system kolejek rozłożonych częściowo na Kujawach a częściowo w Wielkopolsce zawdzięczamy I wojnie światowej, kiedy to linie takie pobudowali Niemcy dla swoich wojennych i gospodarczych potrzeb. Poza tym linie te łączą liczne tu cukrownie z siecią kolei szerokiej. Sieć wąskotorowa była po wojnie modernizowana, ale też przeżyła w latach pięćdziesiątych zamiar jej likwidacji. Na szczęście wycofano się z tego i słusznie, bo drogi tu jeszcze nie najlepsze, a do przewiezienia jest sporo.

Na stan dróg skarżył nam się już naczelnik miasta i gminy Krośniewice — Jan Tomczak, martwiąc się przede wszystkim tym, że tak potrzebna ich modernizacja postępuje w żółtym tempie. W Zarządzie KU-

JAWSKIEJ KOLEI DOJAZDOWEJ fakt ten raczej budzi radość i nadzieję.

— Do roku 2000 — mówią w Krośniewicach przy ulicy Kolejowej — pracę mamy zapewnioną.

Jest to radość wynikająca z poczucia przydatności. Kujawska Kolej Dojazdowa gospodaruje na 530 km wąskotorowych linii, których jednak z rozjazdami i bocznkami jest razem około 750 km.

— W ubiegłym roku — stwierdził kierownik Zarządu KKD, Antoni Wójcik — przewieźliśmy 1106 tys. pasażerów i 1120 tys. ton towarów. W tym roku mamy przewieźć o 40 tys. towarów więcej.

— A pasażerów?

— Tu raczej obserwuje się tendencję spadkową. W miarę rozwoju i większej sprawności PKS ludzie wybierają wygodniejszy i szybszy środek lokomocji.

Ale Kujawska Kolej Dojazdowa też się modernizuje. Parowozy zastępuje się wagonami motorowymi lub dla transportu towarów lokomotywami spalinowymi. Zawarto już umowę z Rumunią, skąd sprowadzi się takie lokomotywy. Ich bazą będzie Sompolno, gdzie obserwuje się największy ruch towarowy.

— A gdzie jest największy ruch pasażerski?

— Na linii Krośniewice — Ozorków — pada odpowiedź i przynajmniej dość zaskakująca, gdyż na tej trasie wąskotorówka biegnie równoległe do szerokiej kolei. Decyduje widak rozmieszczenia przystanków i... punktualność wąskotorówki, czego nie można powiedzieć o jej „dorosłej siostrze”.

Nurtuje nas jednakże nieustannie pytanie: dlaczego wąskotorówka nosi miano KUJAWSKIEJ i dlaczego jej siedziba — centrum dyspozycyjne — znajduje się w Krośniewicach?

— W Krośniewicach — wyjaśnia Antoni Wójcik — jeszcze przed wojną były warsztaty naprawcze. Tutaj też ulokowano zarząd. Wprawdzie w latach pięćdziesiątych na pół roku próbowano zarząd przenieść do Włocławka, ale okazało się to pomyłką. Jeśli natomiast chodzi o nazwę, to początkowo jednolitym tworem była sieć wąskotorowej kolei na Kujawach. Później doszła do tego sieć z Wielkopolski, ale nazwa pozostała tradycyjna.

Okazuje się, że Zarząd KUJAWSKIEJ KOLEI DOJAZDOWEJ w Krośniewicach jest jedynym w Polsce, działającym na prawach oddziału, choć linii kolei wąskotorowej w Polsce jest wiele, żeby wymienić tylko w Piotrkowie Trybunalskim, między Rogowem a Rawą Mazowiecką, w okolicach Szczecina, Warszawy.

— Modernizujemy nie tylko tabor — mówi dalej Antoni Wójcik. — Modernizujemy też przeładunek. Jeszcze wprawdzie nie jest to, czego chcieliśmy, ale postęp już jest i to znaczny. Eliminujemy pracę ręczną. Wprowadzamy transportery, na których można przewozić wielkie wagony kolei szerokotorowej. Dziennie przeładowujemy na naszych liniach 100 wagonów. Nie jest to więc działanie bez znaczenia. Staramy się też poprawiać warunki pracy i wypoczynku kolejarzy. Zarobki też znacznie się poprawiły. Ale nadal brakuje nam ludzi. Kształcimy młodych, ale oni po krótkiej pracy na kolei przenoszą się do przemysłu.

Włodzimierz Parys od dłuższego już czasu kręci się niecierpliwie na krześle. Idąc do Zarządu KKD widzieliśmy cały sznur parowozików. — To coś dla mnie — powiedział wówczas Włodzio. I teraz chciałby się zabrać do roboty. Idziemy więc do krośniewickiej parowozowni. Ale tu rzeczywistość przechodzi Parysowe marzenia.

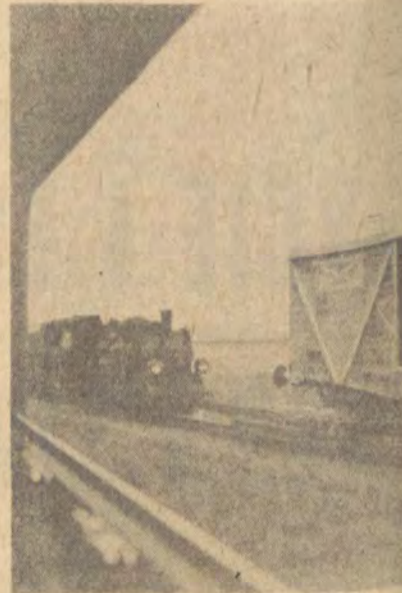
— Mamy tu eksponat muzealny — Sylwester Smolczewski, naczelnik parowozowni, pokazuje nam stary parowozik. — Jest to parowóz 1043, dwuosiowy, niemiecki. Pochodzi gdzieś z lat trzydziestych. Jeszcze niedawno był w eksploatacji. Teraz go wyremontujemy, odnowimy i 1 sierpnia 1975 roku prześlemy do Muzeum Kolejnictwa.

4.

„Trybuna Ludu”, sobota, 19. lipca 1975 roku:

„W drugim dniu lotu połączonych statków, kosmonauci i astronauta złożyli sobie trzykrotnie wizyty. O godzinie 20.06 załogi powróciły na pokłady macierzystych statków, a o godzinie 21.43 nastąpiło pożegnanie i zamknięcie włazów przejściowego”.

Poznawszy całą prawdę o KUJAWSKIEJ KOLEI DOJAZDOWEJ postanowiliśmy wrócić na trasę. Przed nami podróż do Boniewa, ale relacja z tej podróży za tydzień.



Zdjęcia wykonał: WŁODZIMIERZ PARYS

JESZCZE RAZ O RÓŻACH

Po felietonie „Nie ma niebieskich róż” odeszło się parę głosów czytelników, bądź potępiających mnie za żarty z poważnej sorawy, bądź zgadzających się ze mną. Oczywiście to sytuacja normalna — zwłaszcza gdy problem jest ludzkiem nieobojętnym.

Dlatego też — wracając do tej sprawy — nie zamierzam ani zbijać argumentów moich adwersarzy, ani cytować listy wyrażające solidarność z felietonem. Chcę tylko nawiązać do wycinka z „Polityki”, który przysłał mi Andrzej R. z Wielunia. Oczywiście „Politykę” czytałem, ale sam fakt przysłania mi tego wycinka i pytanie czytelnika co ja o tym sądzę, skłania mnie do wyrażenia własnej opinii.

Chodzi tu o reakcję na bardzo — moim zdaniem — rozsądny artykuł M. Wesołowskiej („Polityka” nr 25). Otóż w odpowiedzi na publikację Wesołowskiej redakcja warszawskiego tygodnika otrzymała list m. in. od p. Alicji Bogacz. Pani ta pisze, że jako studentka ekonomii interesuje

się rachunkiem ekonomicznym alkoholizmu — i uważa za ekonomicznie nierealny postulat aby wszystkich pijaków użnać za chorych.

— No cóż — opinia jak opinia. Szkoda tylko, że mało konsekwentna. Gdyby nasza studentka zainteresowała się także rachunkiem ekonomicznym produkcji i sprzedaży alkoholu — moglibyśmy z tych dwóch przesłanek wyciągnąć jakiegoś sensownego wniosku.

Niekonsekwencja postawy adeptyki naszej ekonomii polega na tym, że uważa za nierealne i niepotrzebne traktowanie pijanego jako chorego — natomiast nie chce widzieć drugiej strony zagadnienia. Jak bowiem według szanownej ekonomiki wygląda rzeczywistość i ekonomiczne skutki ożręstwa? Przecież skoro się drwa rąbie i wióry leżą — istnieje chyba obowiązek pomysłenia i zatroszczenia się także o owe wióry...

Może się ta moja opinia klóci z ekonomicznym światopoglądem korespondentki „Po-

lityki” — myślę jednak, że nie klóci się ze światopoglądem — po prostu — humanistycznym.

Bardziej dziwny jest inny list z wycinka nadesłanego przez czytelnika z Wielunia. Pod listem tym podpisało się dwóch lekarzy, w tym jeden docent doktor habilitowany. I oto co piszą w kwestii leczenia alkoholików przedstawicieli medycyny?

Otóż wprowadzają oni zagadkowe rozróżnienie między — jak piszą — alkoholiem — pacjentem a „zwykłym” pijakiem — „pacjentem” w sensie obyczajowym. Nie jestem lekarzem więc nie rozumiem, jakim cudem „pijak nienormalny w sensie obyczajowym” może być normalny w sensie medycznym. I gdzie przebiega ta granica?

Obaj lekarze twierdzą, że nie może być mowy o uzdrowieniu placówek służby zdrowia z izb wyrzeczonych bo wiem — uważa! — „trafiają tam zdegenerowani i asocjalni pijacy”. I tu już nie rzućmy! Czyżby więc dla leka-

rzy ta kategoria ludzi nie stanowiła obiektu zainteresowania własnej medycyny? Na koniec obaj autorzy listu z tytułami doktorów zalecają — zamiast kuracji — „ostrzeżenie kierowane przez zawiadomienie rady zakładowej”.

I wreszcie medyczne ciou programu. Według autorów listu traktowanie pijaków jak chorych byłoby uznane jako... premiowanie upiśnienia umysłowego. Nie leczyć chorych wenerycznie, bo może to być uznane... i tak dalej. I w ogóle nie leczyć.

Zawsze wszakże pozostanie nam jedno. Dyskusja. Jak choćby ta na temat zjawiska alkoholizmu, o którym pisze się od lat bez widocznych efektów.

WIDOK

LEWYM OKIEM

TRZEBA BYŁO...

Mimo energicznej i dającej już rezultaty walki o zlikwidowanie krzywdzących uciążliwości przy załatwianiu najprostszych, zdawałoby się, spraw, mimo prostowania zawilżytych papierowych ścieżek, wiemy przecież wszyscy — i każdy z osobna, jak to trzeba pokonać tor przeszkód, ile zmarnować czasu, ile zapisać formularzy przy byle zetknięciu z jakimkolwiek urzędem. Mówi się o tym i pisze bardzo dużo, nie wspominając jednak, że cały ów papierowy kontroldant to dopiero połowa „drogi służbowej”. Druga połowa, nie odbita w żadnym dokumencie i nie uwzględniana w żadnym rachunku kosztów własnych petenta i kosztów społecznych w ogóle, to „chodzenie za sprawą”.

— Widocznie obywateli nie zależy na załatwieniu, skoro milczą przez cztery miesiące! — rozumowała pani w binoklach. — To wy nie odpowiadacie na listy? — pytam naiwnie. — Co pan sobie myśli (od razu przestałem być obywatelem), że my nie mamy nie lepszego do roboty tylko korespondować z każdym klientem? A pan będzie siedział w domu i czekał? To przecież pański interes, nie mój, prawda? — zapytała w świetnym przekonananiu o swojej najwyższej Racji.

Ponieważ za mną stała już kolejka osób, a każda chciała się „tylko zapytać”, nie mogłem odpowiedzieć pani w binoklach, co o tym myślę, i odpowiadam teraz.

Po pierwsze — to należałoby ustalić, jak często klient powinien dopytywać się o swoją sprawę w urzędzie. Co miesiąc? Co tydzień? Co dzień? Czy może w odstępach różniących, w zależności od ważności sprawy lub ważności urzędnika?

Po drugie proponowałbym, aby każde takie pytanie składać na piśmie, żeby pani w binoklach nie krzyczała potem na klienta, że się nie interesował własną sprawą. Pokazuje się wtedy odpisy złożonych i pokwitowanych zapytań — proszę bardzo, interesowałem się. Pozostawiałyby tylko petentowi przyjąć od czasu do czasu do urzędu i zapytać, czy pytanie już doszło, gdzie trzeba. Oczywiście trzeba by ustalić, jak często klient powinien pytać o los swoich pytań co do złożonego wniosku — i tak dalej, aż do momentu, gdy wniosek stanie się nieaktualny.

Po trzecie — jakiś tam komputer powinien obliczyć, czy więcej czasu pani w binoklach potrzebuje na wysłanie odpowiedzi klientowi, czy też na dwudziestokrotność odpowiadania mu na jego pytania, powtarzane coraz głośniejszym i coraz bardziej zdenerwowanym tonem.

Po czwarte — czy ładniej wygląda urząd jako miejsce ludzi poważnie i sumiennie pracujących, mających czas na rozmowę z każdym nowym petentem o jego nowej sprawie, czy też jako miejsce spotkań złych, zmęczonych, zgonionych ludzi, którzy zaniebują gdzie indziej własną pracę po to, aby wpaść tutaj „na chwilę” żeby się „tylko zapytać”, a nadziewają się na setkę takich samych jak oni, też chcących się „tylko zapytać”. Prawdziwy klient w takiej kolejce, taki z wnioskiem w dłoni, to zupełnie rarytas.

I wreszcie po piąte — warto by się zadumać nad twierdzeniem, że to petent jako zainteresowany powinien martwić się o wszystko, zawsze i wszędzie. Że tenże petent powinien czuć swoje pełentwo, swoją lichą rację wobec wielokrotności potężnych bezosobowych INSTYTUCJI, które raczą przychylić trochę ucha i słuchać, lub udawać, że słuchają. To przecież jasne, że najbardziej zainteresowany jestem ja sam. Chleb — gdy jestem głodny — jest też ważniejszy dla mnie niż dla piekarnika, który głodny nie jest. Wobec tego zamknąć piekarnię? Martwić się, że piekarnik ma zmarnować z tysiącem głodnych? Niech piecze, a wszyscy się od razu usmiechną.

Nieznośna jest świadomość, że wszystkie te akta, preakta, alegaty i poświadczenia nie wzruszą nikogo, nie spowodują żadnych działań, jeśli jednocześnie nie będzie się tam łazić, nukać, popychać, jęczeć i potrząsać wpływowymi znakomitkami. Że dopiero pod presją ciągłych ponaglań i nacisków ktoś znużony sięgnie po naszą tezkę, przeczyta nagłówek i powie: proszę przyjąć za tydzień. Albo co gorsza: trzeba było przyjąć tydzień temu.

Bo przecież inaczej nie powie.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

KSIĘGA SPRAW TRAGICZNYCH

Zwykle na lato proponuje się lekką lekturę, lekkie filmy, lekkie problemy, o ile takowe być mogą. Chciałbym wytłamać się z tej zasady, ale nie z przekory. Powód jest inny. Od dłuższego czasu nurtuje mnie książka, która stanowi pierwsze syntetyczne studium spraw niezwykle trudnych, a która przeszła już niezauważenie. Mam na myśli znakomitą publikację Antoniego B. Szczepniaka i Wiesława Z. Szota, noszącą znamienity tytuł „DROGA DO NIKAD”, a wydaną przez MON.

Zjemy obecnie w okresie utrwalającego się współistnienia, kiedy to szuka się tego wszystkiego, co nas łączy na Ziemi, odrzucając przez to wszystko, co nas dzieli. Narosło wielami konfliktów i nieporozumień starożytności, że przyszłość naszego świata ściśle wiąże się z pokoleniem współczesnym. Zatem można zapytać, czy warto wracać do przeszłości, rozgrywać stare, zasklepiające się rany, odnawiać tragedie narodów? Bo „Droga do nikad” to takich spraw właśnie wraca. Myśli, że warto. A warto dlatego, aby zrozumieć, jakie mechanizmy działały w przeszłości, rozdzieli konflikty i tragedie, na jakich podstawach rodziła się nienawiść i okrucieństwo. „Droga do nikad” to mechanizm stara się właśnie pokazać.

„Obszerne studium Antoniego B. Szczepniaka i Wiesława Z.

Szoty — pisze na obwołanie książki — prof. dr Franciszek Ryska — przeczytałem z ogromnym zainteresowaniem. Nie zawahałbym się powiedzieć, że jest to lektura pasjonująca, „wciągająca” czytelnika, naprawdę nie można się od niej oderwać (...). Oczywiście przyczyna zainteresowania... jest sam temat. Przecież jednak sposób jego opracowania — gruntowny, wszechstronny i sumienny — gwarantuje rzetelność opisu i interpretacji, podnosi również atrakcyjność wykładu, ponieważ czytelnik znajduje odpowiedzi na pytania, które dotąd można było uważać za nie wyjaśnione, chociaż o „problemie ukraińskim” wiele już napisano, zaś o dziejach walk z UPA istnieje wcale obszerna literatura”.

„Droga do nikad” różni się od innych publikacji na ten temat nie tylko sumiennością i rzetelnością analizy, ale przede wszystkim gruntownością. Autorzy zebrali ogromny materiał, solidnie go przestudiowali i prezentowali czytelnikowi pełny obraz stosunków polsko-ukraińskich w XX wieku. Jest to obraz wyrażony nacjonalizmem, a nacjonalizm — jak to wynika z lektury „Drogi do nikad” — zawsze ma to samo oblicze niezależnie od tego jaki przed nim stoi przymiotnik: polski, niemiecki, ukraiński.

Książka zaczyna się prezentacją stosunków polsko-ukraińskich z początku XX wieku, a kończy się likwidacją band UPA. W czasie

lektury „Drogi do nikad” poznajemy nie tylko strukturę organizacji ukraińskich, ale też tragedię tego narodu, podzielonego w latach międzywojennych, otumanionego i wykorzystywanego przez faszystów. Miałem to wyjątkowe szczęście, aby „problem ukraiński” poznać z autopsji. I wiem doskonale, że nacjonalizm ukraiński był narażony na zdrowym cielem narodu ukraińskiego. W latach krwawych pogromów organizowanych przez nacjonalistów byłem na Wołyniu i na terenach radzieckiej Ukrainy. Były to zupełnie różne światy. Wprawdzie na terenach radzieckiej Ukrainy przebiegały bandy nacjonalistów, ale nie znajdowały tam żadnego oparcia. Te doświadczenia potwierdzają wnikiwa analiza obu historyków.

Antoni B. Szczepniak i Wiesław Z. Szota w bogatym zestawieniu załączników cytują dwa niezmiennie charakterystyczne dokumenty ilustrujące jakże różne punkty widzenia, stanowiska. Pierwszy z 5 kwietnia 1943 roku, w którym jeden z dowódców Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów pisze: „Wszyscy Ukraińcy, którzy porzucili policję i urzędy i chodzą samopas w terenie, niezwłocznie połączą się z OUN i podporządkują się jej rozkazom. Po 20.IV. 1943 r. OUN będzie wszystkich tych, którzy będą chodzili samopas w terenie, wyłapywać i rozstrzeliwać jako dezertów”.

Drugi datowany w Kijowie 1

lutego 1944 roku, podpisany między innymi przez Nikitę Chruszczowa stwierdza:

„Cała uwolniona Ukraina mobilizuje swe siły do odbudowania swego kraju i leczenia ran zadanych przez niemiecką okupację, a także wysłała swych najlepszych synów do walki o wyzwolenie reszty ziem ukraińskich (...).”

Walcząc przeciwko niemieckim pomocnikom, niemiecko-ukraińskim nacjonalistom (...). Nie poddawajcie się kłamstwom tych faszystowskich slugusów (...). Oni chcą rozzerwać związek ukraińskiego narodu z rosyjskim i innymi narodami Związku Radzieckiego. Chcą oddać nas w wieczną niemiecką niewolę. Oni walczą i wyniszczają Polaków, którzy razem z nami walczą w partyzantskich (...).”

Dziś wiele miast i rejonów Ukrainy współpracuje z miastami i województwami Polski. Nasze narody łączy wspólna idea i wspólny cel. Rozwijamy współpracę gospodarczą, naukową i kulturalną. Warto jednak poznać przeszłość, aby przyszłość można było kształtować na trwałych podstawach. Proponuję lekturę „Drogi do nikad” nie tylko tym, którzy interesują się historią II wojny światowej, proponuję ją wszystkim, którzy chcieliby umieć myśleć historycznie, to znaczy widzieć naszą teraźniejszość w jej historycznych uwarunkowaniach. Stosunki polsko-ukraińskie są bowiem nieodłączną częścią naszej historii.

MARCIN RODAK

„KONIE NOCY”



Artur Lundkvist — „Konie nocy”, przełożył Z. Łanowski, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1975, str. 352, cena zł 45.—

„DEMONY, PURTKI I STOLEMY”

Łatwiej pewnie zobaczyć potwora z jeziora Loch-Ness niż purtkę albo stolemę na naszej rodzimie, dokładnie nieznanej plaży nadbałtyckiej. A przecież kiedyś hasały sobie te stworzy, i to ponoć zupełnie swobodnie, po kaszubskiej ziemi. Tak przynajmniej opowiadają starzy rybacy. Niedowiarcom, a przede wszystkim nadmorskim czasowiczom proponujemy lekturę lekką, łatwą i przyjemną, czyli książkę Augustyna Necela „Demony, purtki i stolemy”. Autor, znany i ceniony twórca przeszłości i współczesności Kaszub, ma już na swoim koncie wiele książek poświęconych umiłowemu tematowi. Tym razem sięgnął po niezwykle wiedzny materiał, jakim są bajki, legendy, opowieści marynarskie i anegdoty. Utwory przedstawione przez Necela wywodzą się przede wszystkim z jego rodzimego Władysławowa, a także z Chłapowa, Rozewia, Chłap, Kuźnicy, Jastarni, okolic Jeziora Żarnowieckiego, z Nadołu, Kartoszy, Karlikowa, Minkowic, Jeldzina i kilku innych jeszcze miejscowości Ziemi Kaszubskiej. Na końcu swojego zbioru Augustyn Necel wymienia dokładnie wszystkich swoich informatorów, którzy mu poszczególne opowiadania przekazywali. Niewątpliwie jednak sam autor zbioru wzbogacił je o wiele elementów folklorystycznych.

Nie można również pominąć szaty graficznej „Demonów, purtek i stolemów”. Autorem wielu barwnych, znakomych ilustracji jest znany, między innymi czytelnikom „Szeptów”, Jan Sawka.

Augustyn Necel — „Demony, purtki i stolemy”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1975, str. 193, cena zł 85.—

„STOPKA REDAKCYJNA”

„Aula” to był tytuł pierwszej, przetłumaczonej u nas książki Hermanna Kanta. Obecnie PIW przygotował dla nas następną powieść tego autora. Jej tytuł — „Stopka redakcyjna”. Hermann Kant, współczesny pisarz NRD, jest laureatem wielu niemieckich nagród literackich. W roku 1962 otrzymał nagrodę im. Heinricha Heinego. Od roku 1969 jest członkiem Niemieckiej Akademii Sztuk w Berlinie. „Stopka redakcyjna” to powieść z wyraznymi akcentami politycznymi. Jej bohater David Groth jest dziennikarzem. W swojej gazecie pełni funkcję redaktora naczelnego. Wcześniej zaczynał pracę jako goniec i asystent redakcji. Akcja powieści rozpoczyna się w momencie, gdy Groth odrzuca propozycję poważnego awansu, ma zostać ministrem. Decyzja, jaką musi podjąć, wywołuje wspomnienia. Groth wraca myślami do swoich chłopięcych i młodzieńczych lat. Staje refleksyjnie nad przeszłością swoją i swego kraju. „Stopka redakcyjna” to powieść oparta o szeroką panoramę życia w NRD na tle jej historycznych przemian. Ta interesująca, także dla polskiego czytelnika książka, spotkała się z dużym zainteresowaniem krytyki literackiej zarówno w NRD jak i w RFN.

„Stopka redakcyjna” jest kolejną nowością w serii Współczesna Proza Światowa.

Hermann Kant — „Stopka redakcyjna”. Przełożył Stawo. mir Blaut, PIW, Warszawa 1975, str. 420, cena zł 50.—

OJCIEC I SYN

W Klubie Interesującej Książki ukazała się powieść współczesnego powieściopisarza i poety angielskiego Roya Fullera „Ojciec i syn”. Pisarz urodził się w 1912 r. W okresie wojny służył w marynarce, następnie przez kilka lat pracował jako radca prawny. Zadebiutował w roku 1946 książką dla dzieci.

„Ojciec i syn” to powieść utrzymana w tradycji angielskiej powieści obyczajowo-psychologicznej. Jej bohaterem są dwaj mężczyźni: pięćdziesięcioletni urzędnik i jego dwunastoletni syn, młodzieńcy poborowy, któremu za uderzenie oficera wytoczono proces. Ten moment decyduje o dalszym życiu obydwu, pozwala dokonać oceny dotychczasowego postępowania, wzajemnego stosunku ojca i syna, a zachowanie się obydwu w tej konkretnej sytuacji staje się miarą ich wartości człowieka. Autor zastanawia się nad problemem odpowiedzialności rodziców za postawę życiową dzieci.

Powieść warto polecić i to niekoniecznie tylko jako lekturę wakacyjną.

Roy Fuller — „Ojciec i syn”, przełożyła Z. Zinserling, PIW, Warszawa 1975, str. 204, cena zł 20.—

„SŁYSZY PAN TE ŚMIECHY?”

„Żyjemy obecnie w czasach, kiedy i nauka pokazała nam w mikroskopie to, co jest anonimowe, maleńkie, a różnice zewnętrzne nie mają już tego znaczenia, jakie miały za czasów Balzaka. Dziś interesujemy się zjawiskami, które są ukryte głębiej i mniej wyraziste — mówi Nathalie Sarraute, autorka niedawno wydanej u nas powieści „Słyszysz pan te śmiechy?”. Trzeba więc przedstawiać zjawiska w taki sposób, aby pokazać — jak pisze w „Plakietach” — „całą istotę ludzką z miriadami drobnych odruchów rodzących się w kilku słowach, w jakimś geście, w jakiejś drwinie”.

Złożona istota ludzka, jej wewnętrzny świat — to temat powieści „Słyszysz pan te śmiechy?”. Ścisłej racji ujmując pisarkę przedstawia dwa pokolenia — starych i młodych, pokolenia, które żyją obok siebie przez ścianę, ale nie rozumieją się już zupełnie.

Nathalie Sarraute debiutowała w roku 1938 niewielkim tomem prozy impresyjno-powieściowej „Tropismes”. W Polsce znana jest jako autorka „Portretu nieznanego” i dwu sztuk „Młot” i „Kłopoty”.

Powieść „Słyszysz pan te śmiechy?” ukazała się w serii „Współczesna proza światowa”.

B.M.

Nathalie Sarraute — „Słyszysz pan te śmiechy?”, przełożyła K. Dolatowska, PIW, Warszawa 1975, str. 116.

TWARDY ORZECH

Wiele ciekawego ostatnimi czasy działo się w sporcie. Żeby tylko wspomnieć sukcesy polskich lekkoatletów, ale opinia publiczna nie tylko piłką nożną zainteresowana. I nie dziwota, bo — jak to już miało miejsce — wartości szóstki kilkakrotnie podkreślać — w piłce nożnej nie dzieje się najlepiej. Powiem nawet więcej, dzieje się tak źle, że aż sam Zarząd Polskiego Związku Piłki Nożnej musiał zabrać głos, publikując swoje oświadczenie.

Fakt ten należy przyjąć z wielkim uznaniem, jest to bowiem właściwa reakcja na powszechnie rozlegające się głosy krytyki. Co do samego oświadczenia PZPN, to budzi ono niejakie refleksje i wątpliwości. Oto 19 lipca 1975 roku „Express Wieczorny” donosił pod znanym tytułem: „PZPN zmienia regulamin. SUROWE KARY ZA PIŁKARSKIE MACHINACJE — JUŻ OD NAJBLIŻSZEGO SEZONU”. Co prawda warszawska popołudniówka omawiała pod tym tytułem zaledwie projekt zmian przygotowywanych przez PZPN, ale w treści artykułu ani słowem nie wspomniano, kto i kiedy robił jakieś machinacje. „Express Wieczorny” przed oskarżeniem o zniesławienie.

A oskarżenie takie byłoby całkowicie uzasadnione, gdyż 21 lipca 1975 roku — między innymi na łamach „Trybuny Ludu” — ukazało się „Oświadczenie PZPN”, w którym między innymi można przeczytać:

„Najbardziej bulwersujący fachowców i opinii publicznej był finał tegorocznych rozgrywek ligowych. Drużyny czołówki, zdecydowani faworyci z reguły przegrywali z outsiderami. Zarząd PZPN, aczkolwiek przekonany o nieprawidłowościach, nie dysponuje jednak dowodami naruszenia przepisów, dowodami na to, że partycularne interesy klubów lub osobiste interesy zawodników wzięły górę nad idea sportowego współzawodnictwa, ambicją, wolą walki i zwycięstwa oraz nad sportowym moralą”.

O! i smutna rzeczywistość. Wszyscy wiedzą, w co jest grane, ale nikt niktogo za rękę nie złapał. PZPN jest bezsilny. Mało tego. Samokrytycznie przyznaje się do nieskuteczności swego działania.

„Aby zapobiec ewentualnym przypadkom naruszenia zasad sportowej rywalizacji w ostatnich meczach ekstraklasy — czytamy w „Oświadczeniu PZPN” — zarząd PZPN zwołał w początkach czerwca br. specjalną radę przewodniczących sekcji piłki nożnej Woj. Fed. Sportu oraz prezesów klubów I ligi, na której ten problem był szczegółowo omawiany. Prezesi klubów zobowiązani zostali do bezpośredniego zainteresowania się przebiegiem ostatniej fazy rozgrywek ligowych oraz energicznego przeciwdziałania próbom naruszenia przepisów”.

O małej skuteczności niektórych narad i konferencji już wkrótce ćwierkają na plotkach. Ale w związku z tym fragmentem „Oświadczenia PZPN” mam pytanie za 100 zł: kto wobec tego czynił te — jak tego chce „Express Wieczorny” — machinacje? Najprawdopodobniej krasnoludki.

PZPN w swoim oświadczeniu chwali się, że wiele zrobił dla podniesienia dyscypliny na boisku i że praca wychowawcza w klubach znacznie się poprawiła. Przy tej okazji wymienia zastrzeżenia kryteria przy doborze sędziów oraz szkolenie dla tychże, seminaria dla spikerów obsługujących ligowe mecze. Trochę inne zdanie mają na ten temat sędziowie piłkarscy. Nie pomniejszając swoich wln, podkreślają oni brak pracy wychowawczej w klubach. Rozmowa z sędziąmi przeprowadził tygodnik „Piłka Nożna”. W rozmowie tej padło między innymi pytanie o powód rekordu złotych i czerwonych kartek w ŁKS. Próbowano tłumaczyć to nerwowością zespołu, któremu groził spadek do drugiej ligi, ale Włodzimierz Karolak z Łodzi przypominał, że na początku każdego sezonu organizuje się dla piłkarzy wykłady o regulaminie piłkarskim. Na wykładach dla ŁKS nie było ani jednego zawodnika pierwszoligowej drużyny.

Wybrki naszych piłkarskich pupiłków nie biorą się z niczego, nie są to przejawy ich indywidualności i ujemnych skutków popularności, PZPN zapewnia, że „będzie konsekwentnie egzekwował od reprezentantów obowiązki zawodnicze, godną postawę i wzorowe zachowanie”. To bardzo ładnie, ale chciałabym zwrócić uwagę, że czas Jerzego Gorzonia i Andrzeja Szarmacha — nie wziął się z powietrza, że jest to wynik atmosfery panującej od dłuższego czasu w zaborczym Górniku, tak jak i rekord kar w ŁKS wziął się z atmosfery panującej w tej drużynie.

W niedzielę, 3 sierpnia 1975 roku rozpoczyna się sezon ligowy. We wrześniu — spotkanie z Holandią. „Główny ciężar sportowej pracy z reprezentantami spada teraz na kluby” — powiedział „Trybunie Ludu” Kazimierz Górski. A w wywiadzie udzielonym „Piłce Nożnej” stwierdził między innymi:

„Jerzy Gorzón... nie grał słabo, ale specjalnie nie błyszczał. Oceńam go na średnio, dostatecznie...”

„Kazimierz Deyna... gdy jest tylko przygotowany kondycyjnie i szybkościowo, to wielka klasa.”

Kluby będą musiały zrobić bardzo dużo, i nie tylko zatroszczyć się o formę reprezentantów. A w klubach „wielka wędrówka ludów” — zawodników i trenerów. Już 3 sierpnia br. zobaczymy na boiskach pierwszej ligi nowe składy starych drużyn. Ale to jeszcze nie będzie odnowa polskiej piłki nożnej. Aby PZPN za rok nie musiał publikować podobnego oświadczenia w klubach musi się wiele zmienić.

BOGDA MADEJ

EKSPORTOWA ROZRYWKĄ

Zatelefonowała do mnie, przedstawiła się imieniem i nazwiskiem, przeprosiła, że zawraca głowę, ale spór, który wiodła z chłopakiem wymagał rozstrzygnięcia przez osobę kompetentną. Znaczący przez redakcję. Więc zatelefonowała i taka oto odbyła ze mną rozmowa:

— Czy pani oglądała finałowy koncert Festiwalu Piosenki w Opolu?

— Tak — odpowiedziałam.

— Czy pani zauważyła, że jednemu z piosenkarzy obok orkiestry oczywiście, towarzyszył na skrzypcach Jan Stefanki?

— Oczywiście!

— Proszę pani, czy to ten sam Stefanki, który grał w byłym zespole „NO TO CO”?

— Jak to w byłym? — chyba zbyt głośno krzyknęłam w słuchawkę — dlaczego w byłym? Przecież ten zespół ISTNIEJE!!!

— No właśnie! — krzyknęła ona jeszcze głośniej niż ja. — No właśnie! Strasznie pani dziękuję! Wygrałam!

I odłożyła słuchawkę wykrzykując pewnie dalej swoją rację, ale już nad głową chłopaka.

Bardzo mnie ta rozmowa ubawiła. Trochę się pośmiałam, ale zaraz potem zaczęłam intensywnie myśleć. Coś w tym jest — dumalam — coś w tym jest, bo w przeciwnym razie żaden spór o „NO TO CO” nie miałby miejsca...

A w dwie godziny później, w Klubie Dziennikarza, spotkałam Jana Stefanki:

— Fajnie, że jesteś — rzuciłam na dzień dobry — bo wyobraź sobie...

I pogadaliśmy. A rozmowa przebiegała błyskawicznie:

— Wygląda na to, że wcale się nie dziwisz — prowokowałam Stefanki.

— Pewnie, że nie — on-na to.

— No wiesz? — ja zaczęłam być zdziwiona — ludzie wątpią, a po tobie sływa, jak po psie wodzie...

— Nie sływa, nie sływa. Owszem, jestem zmartwiony.

— Więc dlaczego?

— „nie występujemy z koncertami”

— Właśnie.

— Występujemy, tylko trochę dalej?

— Za granicą?

— Prawie bez przerwy.

— To opowiedz.

Opowiedział.

Kiedy Piotr Janczerski odszedł z zespołu i założył Bractwo Kurkowe, „NO TO CO” koncertował właśnie w Związku Radzieckim. Kontrakt radziecki był długoterminowy, a jak się zakończył chłopcy z „NO TO CO” wyjechali ze swoją muzyką i piosenką dalej, w świat. W tym czasie, w telewizji i na koncertach, pokazało się Bractwo Kurkowe — także doskonały, to trzeba uciwicie powiedzieć zespół — i ludzie powoli zaczęli o „NO TO CO” zapominać.

Tymczasem „NO TO CO” pod nowym kierownictwem kompozytora, aranżera, głównego wokalisty i gitarzysty — Jerzego Krzemińskiego ciągle odnosił ogromne sukcesy. Tylko, że daleko od kraju.

— Opowiedz o koncertach w Związku Radzieckim.

— Doskonałe — zapalił się Stefanki — te właśnie wspominałyśmy najmilej. Zresztą znów szukujemy się do drogi. Już przyszedł zaproszenie.

W czasie ostatniego, radzieckiego tournée piętnaście razy występowali z koncertami na terenach wielkiej, moskiewskiej wystawy. A wieczorami — także kilkanaście razy — grali i śpiewali na ogromnym (15 tysięcy widzów!) stadionie na Łużnikach.

Ostatnie, radzieckie tournée trwało pół roku. Kiedy z lotniska w europejskiej części ZSRR odlatywali do Archangielska, w lekkich, wiosennych płaszcach było im trochę za ciepło. Na lotnisku w Archangielsku wpadli w mróz, jakiego nigdy w życiu żaden z łódzkich chłopaków wyobrazić sobie nawet nie potrafił...

— No i co?

— Jak to co? — zaśmiał się Stefanki — kupiliśmy kożuchy: takie długie, z ogromnymi kołnierzami.

W czasie każdego, radzieckiego tournée nagrywali dla „Melodii” płyty długogrające. Ostatni long play wyszedł w nakładzie 9 (słownie: dziewięciu) milionów sztuk. Podobno wszystkie już sprzedane.

„NO TO CO” jest zespołem... eksportowym: ciągle w świecie, ciągle w drodze.

— Macie przygody?

— Najróżniejsze.

— Opowiedz kilka.

— W porządku — Stefanki na to ale zaczął od krajowej.

Górnicy Śląska zaprosili ich kiedyś na galowy koncert barbórkowy. Pojechali chłopcy z „NO TO CO” trochę wcześniej, przedstawili się gospodarzom w kopalni Bieruszowice. Pierony popatrzyli na nich spod oka, coś tam między sobą poszeptali, a jeden głośno spytał: „Pofedrować byście chcieli?”

Chcieli, nie chcieli, honor odmówić zabraniali. Tak więc poszli do szatni, zdjęli swoje dzinsy i kurteczki kolorowe, wskoczyli w górnicze kombi-negony, pokwitowali odbiór hełmów i laterek. Górnicy zwieźli ich tam, gdzie najtrudniej, na sam przodek. I wówczas zespół „NO TO CO” wykonał swój najtrudniejszy w życiu

„koncert”: fedrowania... na kolanach.

W Ameryce impresario wiecznie załamywał ręce. Polonia tak bez reszty zakochała się w chłopakach, że każdego z nich zaraz, natychmiast chcieli usynawiać. Wstępne próby do adopcji odbywały się w prywatnych domach, toteż biedny, sędziwy Wojewódka ciągle biegał, jak w ukropie, żeby zespół w komplecie dostawił do szczerbie wypelnionych, koncertowych sal.

— Widziałam kiedyś u ciebie w domu — przypominałam Stefankowi — taki płaski klucz z breloczkiem hotelu w Toronto.

— Zapomniałem oddać, a do Kanady strasznie daleko.

HALINA BATOROWICZ

„NO TO CO”

CZY „TO” ISTNIEJE...?

5 grudnia 1967 r. odbył się w programie Młodzieżowego Klubu Telewizyjnego „Po szóście” debiut grupy wokalo-instrumentalnej „NO TO CO” — jak się później okazało na tyle oryginalnej, że zdobyła sobie szerokie uznanie publiczności w Polsce i stała się popularna w ciągu kilku lat w świecie.

Duże powodzenie zapewniło zespołowi temu tylko właściwe progresywne wprowadzenie do współczesnej muzyki rozrywkowej polskiego folkloru. W ciągu dalszych lat pracy grupa opracowała w konwencji folk-rocka, tworząc rozciągającą popularny w świecie aurt „zielonej fały”, wiele ludowych melodii wszystkich narodów słowiańskich. Osiągnęła tym samym charakterystyczny, odróżniający ją od innych grup muzycznych własny styl bez konieczności kopiowania czy naśladowania jakiegokolwiek uznanego gwiazdy światowego przemysłu rozrywkowego.

„NO TO CO” wykonuje tylko własny repertuar, na który składa się ponad 250 utworów.

A więc „NO TO CO” to „zielona fała”, „NO TO CO” to folklor, ale w nowoczesnej aranżacji, w układzie na niekonwencjonalny zestaw instrumentów — gitary elektryczne obok akustycznych, skrzypce, organy, bandzo i flet obok piszczałek, buńczuka i dudów. Poza tym „NO TO CO” traktuje swoje występy jako wspólną zabawę z publicznością. Przelamuje bariery między widownią i sceną. Prowokuje do aktywnego uczestniczenia w widowisku, wspólnego śpiewania, wspólnej zabawy.

W swoim dorobku, grupa ma dwa pełnospektaklowe, estradowe widowiska muzyczne: „Hej koleśka deska” i „Zielona łączka”.

„NO TO CO” zagrało z powodzeniem główną rolę w muzycznej, pełnospektaklowej komedii filmowej pt. „Milion za Laure”.

Zespół śpiewa piosenki po polsku, angielsku, rosyjsku, czesku, francusku, niemiecku, ukraińsku, białorusku, bułgarsku, hiszpańsku i słowacku.

Szczególne często „NO TO CO” jest zapraszane do udziału w programach telewizyjnych. M.in. zespół występował dla TV: Belgii, Szwajcarii, RFN, Szwecji, NRD, Czechosławii, ZSRR, Jugosławii, Węgier, Bułgarii itd. Naturalny sposób bycia członków grupy, oryginalne brzmienie uzyskiwane dzięki wykorzystaniu wielu unikalnych, autentycznych instrumentów ludowych i kolorowe kostiumy czynią ich występy atrakcyjnym punktem telewizyjnych audycji muzycznych.

„NO TO CO” należy do grupy nielicznych zespołów uprawiających współczesną muzykę rozrywkową, mając zwolenników zarówno wśród młodzieży jak i starszej generacji.

Symbioza słowiańskiego, w tym szczególnie bogatego polskiego folkloru z pop music i rock'em uczynili grupę „NO TO CO” najbardziej znanym wokalo-instrumentalnym zespołem centralnej Europy.



Fot. P. Karpiński

JERZY KRZEMIŃSKI — kierownik zespołu, kompozytor, aranżer, główny wokalista, gitarzysta.

JAN STEFANEK — multinstrumentalista (tak nazywają go w świecie), gra właściwie na wszystkich instrumentach, także śpiewa.

BOGDAN BORKOWSKI — gitara, bandzo, harmonijka, śpiew.

CZESŁAW MOGLIŃSKI — gitara basowa, śpiew.

ALEKSANDER KAWECKI — perkusja, gitara, śpiew.

EDWARD JUGO — perkusja.

223

Jak płynęli do Ameryki załoga nowego „Batorego” (od kucharza do kapitana) nie przespała chyba uczucie, ani jednej nocy. Ta podróż to był jeden, nieustający koncert: dla „NO TO CO” i dla marynarzy.

Na Kubie (przyjechali, jako pierwszy polski zespół beatowy) koncerty odbywały się niby w łaźni parowej. Straszny upał, a „NO TO CO” w tych swoich ludowych, przepięknych strojach z czystej, żywej wełny...

W Hawanie Stefanki spotkał się z rekinem: twarz w twarz.

— Przyjemnie było?

— Owszem, bo przez szybę. W muzeum oceanograficznym.

Ale ośmiornice, już w oceanie, upolował naprawdę. Tak mu się te podwodne zabawy spodobały, że cudem na koncert zdążył.

— Jeszcze przygody?

— Opowiedz. Skoro ludzie w kraju oglądają was nie mają okazji, niech przynajmniej wiedzą, co w świecie robicie.

Ostatnio, w Gruzji, cały zespół za-domowił się w różnych, gościnnych rodzinach. Gościna — rzecz miła, więc jak tu odmówić gospodarzom, którzy sadzając do stołu w najlepszej wierze proponują odzianie się — ich wzorem — w płaszcz podobny baranem. A temperatura powietrza prawie tropikalna.

— W Taszkencie — wspomina Stefanki — przy herbacie, której picie jest prawdziwym rytuałem — spotkałem człowieka. Od słowa do słowa zaczęła się rozmowa. — Skąd ty? — Z Polski. — Z Warszawy? — Z Łodzi, blisko Warszawy. — Oj, synku, synku, toż ja Warszawę, w czterdziestym piątym na zczłowiek wyzwalalem!

Przed następnym, zagranicznym wyjazdem „NO TO CO”, dosłownie w biegu, nagrał singiel (jak widać do programu radiowego, może być szlagier listy przebojów!) i long.

— Jaki?

— Coś a propos: koledy. Rzecz jest oparta na pięknych tekstach Ewy Bonackiej z muzyką Jurka Krzemińskiego.

„Zielona łączka”, prawdziwy szlagier zespołu ukazała się w sklepach muzycznych równieży rok po nagraniu. Płyta, którą Stefanki określił „a propos koledy” — podobno niezwykle ciekawa od strony aranżacji i tekstu, płyta dla młodych i starszych wiekiem — a więc dla wszystkich — powinna znaleźć się w sprzedaży przed 24 grudnia. Zdażają Polskie Nagrania, czy nie zdąży?

Zespół „NO TO CO” — to zespół łódzki. Wszyscy chłopcy pochodzą z miasta, któremu są wierni. I w tym właśnie mieście, aż dziw bierze, nie mają miejsca na próby, na przygotowania do nowych koncertów. Przygarnia ich od czasu do czasu (zresztą duszą i sercem) Karol Wagner w klubie „Lokator” na ul. Nowopolskiej, udziela gościnny balucy klub na Zubardziu Ale, jak długo można być sublokatorom. W dodatku takim głośnym.

Powiedziałam Stefankowi (tego głównie męczyłam pytaniami, bo akurat nawinał mi się), żeby zatelefonował i podał dokładny wykaz nagród, które do tej pory zdobył zespół „NO TO CO”. Czekalam, czekałam, telefonu nie było. Stefanki, to prawdziwy artysta. Zapomniałski. Więc podaję to, co pamiętam: nagroda na Festiwalu Midem (Francja), nagroda Radia Chicago („NO TO CO” — polski zespół roku w USA), wiele nagród na festiwalach w Opolu i Kolorado, Złota Płyta za long „Nikifor”, nagroda III stopnia Ministerstwa Kultury i Sztuki, oraz ten słynny, Srebrny Medal „Za Zasługi dla Państwa”.

Honorowej Odznaki m. Łodzi, do tej pory, chłopcy z „NO TO CO” nie dostali. A wiem, że jeżdżąc po świecie — marzą o niej...

U PRZYJACIÓŁ

W reprezentacyjnej sali wystawowej Moskwy — Maneżu otwierała wystawę plastyczną „30 zwycięskich lat”, na którą złożyły się prace artystów NRD, Bulgarii, Czechosłowacji, Kuby, Mongolii, Polski, Rumunii, Węgier, Wietnamu i ZSRR. Wystawę otwiera monumentalny obraz międzynarodowy, w którym przedstawiono obrazy, plakaty, rzeźby i grafiki plakatowo-gazetowe pokazujące walkę z faszyzmem w latach 1939—1945, a więc prezentując sztukę walczą, międzynarodową, a nie postępowych ludzi świata przeciw faszyzmowi.

W dziale tym pokazanych jest 360 prac 170 autorów. Są wśród nich prace niemieckich antyfaszystów Hansa Grundiga, Magnusa Zellera, obrazy Dunikowskiego, grafiki Bronisława Linka, prace Aleksandra Dejnego, Siergieja Gerasimowa i inne. Jest tu zapis brutalnego terroru w Niemczech („SA króluje na ulicy” H. Grundiga — 1935) i w innych krajach („Hiszpania” L. Pietrowa — 1938—1939, „Faszyzm to odrodzenie niewolnictwa” L. Keleti — 1940, „Niech nasza przyjaźń krzepnie w bitwach” W. Zakrzewski 1944), są także wykonane podczas procesu norymberskiego zbrodniarzy hitlerowskich (M. Żukow, Kukryniksy), fotografie rysunków i obrazów zniszczonych przez faszyzowską policję.

W działach narodowych, które skupiają 800 prac, 400 autorów prezentuje się sam temat walki i zwycięstwa jak i jego źródła oraz historyczne konsekwencje — nasze życie, w całym jego bogactwie — zwycięstwo na frontach pracy — w budowie socjalizmu.

Ekspozycja polska składa się z 60 obrazów, 50 grafik, 8 rzeźb i przedstawia — poprzez prace wybitnych polskich artystów — wszystkie etapy od wyzwolenia po dzień dzisiejszy. „Lenin” i „Spójnia” E. Elbischa — upamiętniające czasy pobytu w Polsce i trzy pejzaże z leninowskiej serii Włodzimierza Zakrzewskiego mają znaczenie symbolu i symbolizują tradycje rewolucyjne polskiej klasy robotniczej. Obrazy M. Byliny („Nysa” i „Odra”), B. Liberskiego („Berlin 1945”), St. Poznanski („Warszawa wyzwolona”), grafika E. Borsy „Stup graniczny na Odrze” obrazują końcowy fragment działań wojennych.

Słynny obraz W. Weissy — „Manifest” otwiera plastyczną kronikę pokojowych dzieł naszej historii, które poprzez „Reformę rolną” Z. Proszki, „Ziemie chłopom” J. Krajewskiego, portret „Górali Wincęty Pstrawski”, F. Kowarskiego doprowadzają nas do malarskich wizji naszej współczesności w obrazach W. Buczka, I. Cybisa, J. Kaczmarek, A. Maciąga, L. Nowosielskiego, L. Wróblewskiego i innych.

Wystawa „30 zwycięskich lat” cieszy się ogromnym zainteresowaniem. Ekspozycja będzie aż do roku 1977 w stołeczkich pałacach socjalistycznych, a do Warszawy przybędzie w roku 1977.

W Weimarze odbyło się stosunkowo niedawno kolokwium zorganizowane przez towarzystwo historyków Niemiec i Republiki Demokratycznej poświęcone tematowi: „Celo wojenne hitlerowskich Niemiec i ich niepodległość”. Między historykami zachodnimi i niemieckimi i energetycznymi zaczęła się ostra dyskusja, która ukazywała dość poważne rozbieżności i głębokie sprzeczności w interpretowaniu historii najnowszej, a zwłaszcza faszyzmu hitlerowskiego.

W kolokwium wzięło udział 40 historyków z NRD, 20 z innych krajów socjalistycznych oraz 20 z krajów kapitalistycznych.

Na półkach księgarskich w NRD ukazała się ostatnia wielka antologia polskiej literatury z ostatnich 50 lat. Książka ta pt. „Polskie Litery aus fünf Jahrzehnten”, przygotowywana była przez wiele lat przez znanego tłumacza Henryka Bereske i Heinricha Olschowskiego, który napisał postawienie.

Antologia obejmuje prawie 500 stron druku i zawiera utwory 62 poetów, od Staffa poczynając, którego twórczość otwiera ten wybór, a kończąc na Stachurze i Baranowskim. Książkę zdobi 31 barwnych ilustracji wykonanych przez wybitnych polskich grafików współczesnych.

Wydawca tej cennej pozycji jest zasłużone wydawnictwo Aufbau Verlag, które obchodzi swoje 30-lecie. Wydawnictwo to wydało już przekłady wielu polskich pisarzy, zwłaszcza klasyków naszej literatury, tu między innymi w 100-lecie śmierci Adama Mickiewicza ukazało się jubileuszowe wydanie „Pana Tadeusza” w języku niemieckim. To samo wydawnictwo wydało także „Lalkę”, „Emancypantki”, „Faraona” i „Opowiadania” Bolesława Prusa. „Faraon” należy do najbardziej ulubionych powieści w NRD. Dotychczas ukazało się kilka wydań tej książki, które z półek księgarskich znikają w ciągu kilku dni. W sumie — Aufbau Verlag wydał dotychczas ponad 300 tys. egzemplarzy „Faraona” i na rok przyszły przygotowuje jego kolejną edycję.

Wielu klimatologów studiujących zmiany pogody na przestrzeni długich okresów czasu prognozuje z uporem stopniowe pogarszanie się klimatu, w którym ludzie przywykli żyć. Utrzymują oni, iż pewne oznaki, jak na przykład stała tendencja do spadku temperatury na planecie, wskazują, że nadchodzące lata będą coraz chłodniejsze, a pogoda coraz bardziej zmienna.

Tymczasem, o czym wie każdy, kto słucha prognoz pogody, podawanych przez radio i telewizję, meteorologom trudno jest przewidzieć deszcz czy śnieg na pięć dni naprzód. Grupa uczonych, która przy pomocy największego w świecie komputera próbowała umodelować prognozy atmosferyczne, uważa dwutygodniową prognozę pogody li tylko za „połączną perspektywę”.

Problem nie jest bynajmniej akademicki, bowiem nieznaczne nawet zmiany klimatu mogą być bardzo groźne dla gospodarki rolnej. Odnotowany spadek średniej rocznej temperatury w skali kuli ziemskiej zaledwie o 1 stopień spowodował skrócenie okresu wegetacji, na przykład w Anglii, o dwa tygodnie i przesunął dalej na południe granice strefy wiecznej zmarzliny w Związku Radzieckim i w Kanadzie. Na razie nie dość wyjaśnione ruchy wiatrów na wielkiej wysokości zaobserwowane w 1972 roku spowodowały, jak uważają specjaliści, jednocześnie powódzie we wschodnich rejonach USA, niezwykle rozłożenie monsunów w Azji i inne niepożądane zjawiska na kuli ziemskiej. W tym też czasie czapa polarna zwiększyła się, w porównaniu z latami ubiegłymi, o 12 procent i od tego czasu nie powróciła już do poprzedniego stanu. Obniżła się temperatura wody morskiej na Północnym Atlantyku, drogi morskie zostały zablokowane niezwykle wielką ilością lodu, a Golfstrom zboczył nieco na południe.

Niektórzy klimatolodzy uważają owe ochłodzenie za jeden z objawów ogólnej tendencji, która powinna doprowadzić do wielkiej chwiejności pogody i w konsekwencji — do zaostżenia deficytu żywnościowego w skali globalnej. Nie ma oczywiście obaw, żeby nastąpiła jakaś nieoczekiwana ofensywa lodowców na nasze wsie i miasta. Na taki „atak” potrzeba tysiącleci. Uczni przestępują raczej przed stałą tendencją do zmian temperatury i przesunięciem stref opadów w rejonach rolniczych, przed ociepleniem lub ochłodzeniem wody morskiej w rejonach mających największe znaczenie dla reprodukcji „darów morza”. Ogromne nadwyżki ziarna lat sześćdziesiątych znikły nieomal błyskawicznie i obecnie nieurodzaj w jednym ze spichrzów świata, na przykład na Ukrainie, może wywołać wzrost cen na produkty żywnościowe oraz deficyt żywnościowy na całej planecie.

Spośród wszystkich „wroźbitów”, przepowiadających „koniec świata”, najbardziej nieublagany jest dyrektor Instytutu Ochrony Środowiska przy uniwersytecie Wisconsin — R. Breyson. „Istnieją podstawy do przypuszczeń, że jesteśmy świadkami końca epoki, epoki sprzyjającego nam klimatu” — powiedział niedawno.

Większość klimatologów ogranicza się do poszukiwania prawidłowości w wahanach klimatycznych przeszłości. Breyson jest jednym z niewielu, któ-

nie, może wywołać wzrost cen na produkty żywnościowe oraz deficyt żywnościowy na całej planecie.

Większość klimatologów ogranicza się do poszukiwania prawidłowości w wahanach klimatycznych przeszłości. Breyson jest jednym z niewielu, któ-

ry mają odwagę zaglądania w przyszłość. Przestrzega on, że „klimat ziemni zmienia się w kierunku nie budzącym nadziei na wykarminienie ludzkości”. Uważa, że ludzie, poczynając od lat trzydziestych, swoją działalnością przemysłową i rolniczą, zwiększającą się w gwałtownym tempie, wyrzucają do powietrza pył. (Chodzi tu o ogólne zanieczyszczenie atmosfery). Pył ten — twierdzi uczony — zmniejsza stopniowo ilość światła słonecznego dochodzącego do powierzchni Ziemi, przede wszystkim na półkuli północnej.

Latem 1974 roku — podaje „NJ Times Magazine” — Breyson wraz z innymi klimatologami wziął udział w odbywającej się w Bonn konferencji, zorganizowanej przez grupę pod nazwą „Międzynarodowa Federacja Instytutów Badań Perspektywicznych”. Konferencja przyjęła rezolucję, która przeraziła wielu uczonych świata. Mówi się w niej m.in.: „Fakty świadczące o zmianach klimatycznych są takie, że nawet większość specjalistów nastroszonych jak najbardziej optymistycznie musi wróżyć wielkie nieurodzaje w najbliższych dziesięciu latach. Jeśli działać politycznie nie wzmaga pod uwagę tych nieomal na pewno grozących nam nieurodzajów, ludzie będą masami ginąć z głodu... Zdajemy sobie sprawę, że wśród specjalistów istnieją

rozbieżności zdań, co do przyczyn i następstw obserwowanych zjawisk. A zatem także co do prawdziwości tej prognozy. Te różnice poglądów są poważne, jednakże nie powinny one ukrywać jednomyślności w poglądzie, że obserwowane niekorzystne zmiany klimatu nie są ani krótkotrwałe, ani przemijające”.

Oświadczenie to wywołało oburzenie i falę protestów. W konsekwencji kataryczne sformułowania rezolucji zostały później złagodzone. Wielu klimatologów i meteorologów wystąpiło także z żądaniem usunięcia sformułowania „jednomyślności”, na którą po-

niowano wchłanianie atmosfery i ziemi i przekształca się ono w ciepło.

Ponad połowę ciepła atmosferycznego wytwarza tropiki: wskutek kulistej kształtu Ziemi promienie słoneczne padają na równiku pod mniej ostrym kątem niż na biegunach. Dlatego tropiki porównuje się często do „kotła parowego”, który wprawia w ruch „silnik atmosferyczny” naszej planety.

„Nadmiar” ciepła tropikalnego przemieszcza się od równika do biegunów. Mniej więcej trzecią jego część przenoszą ciepłe prądy oceaniczne, a dwie trzecie — wiatry nasycone wilgocią. W strefach umiarkowanych i polarnych ów „nadmiar” ciepła wypromieniowuje się w przestrzeń.

Prosty system cyrkulacji ciepła przyjmuje w zasadzie formę trzech stref prądów okólnych. Góry zatrzymują prądy powietrzne, a obrót Ziemi odchyła powietrze przemieszczające się do biegunów, wskutek czego nie dociera ono do nich „dostatecznie szybko, żeby móc tam „oddać” nadmiar energii. Jednakże powstające przy tym wiatry tworzą wielkie systemy sztor-mowe, które są „supermocnymi” przenośnikami ciepła do biegunów. Energia wyzwala się także drogą innych procesów, na przykład w postaci opadów. „Surowcem” deszczów są pary wodne. Wznoszą się one znad powierzchni oceanicznych pod działaniem promieni słonecznych, przede wszystkim w tropikach. Te molekuly „gazowej postaci” wody, posiadając w sobie utajoną energię, unoszą się w górę i przemieszczając się w kierunku biegunów ulegają ochłodzeniu. W miarę ochładzania się molekuly coraz bardziej „sklejają się” w kropki, wyzwalaając energię wchłanianą uprzednio w tropikach w czasie parowania. Ostatecznie na ziemi spada deszcz. Powstawanie chmur i deszczu nie jest jeszcze procesem wyjaśnionym do końca.

Energia wydławuje się także w wiatrach przysuwających formę huraganów, trąb powietrznych, w wyładowaniach elektrycznych i innych. Wskutek tych nieustannie zachodzących procesów, na całym świecie, przez całą dobę grzmi 75 tysięcy przeróżnych burz.

Trudno to wszystko zrozumieć, nie znając mechanizmu tropikalnego „silnika ciepła”. Dla meteorologów strefy tropikalne są w większości białą plamą, i dlatego że są mało zaludnione, i dlatego, że większość krajów położonych na równiku jest zbyt biedna, by asygnować odpowiednie środki na kosztowne programy badań praw pogody.

Mimo różnych trudności uczeni pracują jednak nad poznaniem mechanizmów zmian klimatycznych. Obecnie, dzięki szerokiej współpracy międzynarodowej meteorologów, klimatologów i specjalistów innych dyscyplin naukowych, otwierają się w tej dziedzinie szersze perspektywy.

Opracował: JERZY CZECH

ZAGADKI KLIMATU

DESZCZ CZY POGODA

Wielu klimatologów studiujących zmiany pogody na przestrzeni długich okresów czasu prognozuje z uporem stopniowe pogarszanie się klimatu, w którym ludzie przywykli żyć. Utrzymują oni, iż pewne oznaki, jak na przykład stała tendencja do spadku temperatury na planecie, wskazują, że nadchodzące lata będą coraz chłodniejsze, a pogoda coraz bardziej zmienna.

Tymczasem, o czym wie każdy, kto słucha prognoz pogody, podawanych przez radio i telewizję, meteorologom trudno jest przewidzieć deszcz czy śnieg na pięć dni naprzód. Grupa uczonych, która przy pomocy największego w świecie komputera próbowała umodelować prognozy atmosferyczne, uważa dwutygodniową prognozę pogody li tylko za „połączną perspektywę”.

Problem nie jest bynajmniej akademicki, bowiem nieznaczne nawet zmiany klimatu mogą być bardzo groźne dla gospodarki rolnej. Odnotowany spadek średniej rocznej temperatury w skali kuli ziemskiej zaledwie o 1 stopień spowodował skrócenie okresu wegetacji, na przykład w Anglii, o dwa tygodnie i przesunął dalej na południe granice strefy wiecznej zmarzliny w Związku Radzieckim i w Kanadzie. Na razie nie dość wyjaśnione ruchy wiatrów na wielkiej wysokości zaobserwowane w 1972 roku spowodowały, jak uważają specjaliści, jednocześnie powódzie we wschodnich rejonach USA, niezwykle rozłożenie monsunów w Azji i inne niepożądane zjawiska na kuli ziemskiej. W tym też czasie czapa polarna zwiększyła się, w porównaniu z latami ubiegłymi, o 12 procent i od tego czasu nie powróciła już do poprzedniego stanu. Obniżła się temperatura wody morskiej na Północnym Atlantyku, drogi morskie zostały zablokowane niezwykle wielką ilością lodu, a Golfstrom zboczył nieco na południe.

Niektórzy klimatolodzy uważają owe ochłodzenie za jeden z objawów ogólnej tendencji, która powinna doprowadzić do wielkiej chwiejności pogody i w konsekwencji — do zaostżenia deficytu żywnościowego w skali globalnej. Nie ma oczywiście obaw, żeby nastąpiła jakaś nieoczekiwana ofensywa lodowców na nasze wsie i miasta. Na taki „atak” potrzeba tysiącleci. Uczni przestępują raczej przed stałą tendencją do zmian temperatury i przesunięciem stref opadów w rejonach rolniczych, przed ociepleniem lub ochłodzeniem wody morskiej w rejonach mających największe znaczenie dla reprodukcji „darów morza”. Ogromne nadwyżki ziarna lat sześćdziesiątych znikły nieomal błyskawicznie i obecnie nieurodzaj w jednym ze spichrzów świata, na przykład na Ukrainie, może wywołać wzrost cen na produkty żywnościowe oraz deficyt żywnościowy na całej planecie.

Spośród wszystkich „wroźbitów”, przepowiadających „koniec świata”, najbardziej nieublagany jest dyrektor Instytutu Ochrony Środowiska przy uniwersytecie Wisconsin — R. Breyson. „Istnieją podstawy do przypuszczeń, że jesteśmy świadkami końca epoki, epoki sprzyjającego nam klimatu” — powiedział niedawno.

Większość klimatologów ogranicza się do poszukiwania prawidłowości w wahanach klimatycznych przeszłości. Breyson jest jednym z niewielu, któ-

ry mają odwagę zaglądania w przyszłość. Przestrzega on, że „klimat ziemni zmienia się w kierunku nie budzącym nadziei na wykarminienie ludzkości”. Uważa, że ludzie, poczynając od lat trzydziestych, swoją działalnością przemysłową i rolniczą, zwiększającą się w gwałtownym tempie, wyrzucają do powietrza pył. (Chodzi tu o ogólne zanieczyszczenie atmosfery). Pył ten — twierdzi uczony — zmniejsza stopniowo ilość światła słonecznego dochodzącego do powierzchni Ziemi, przede wszystkim na półkuli północnej.

Latem 1974 roku — podaje „NJ Times Magazine” — Breyson wraz z innymi klimatologami wziął udział w odbywającej się w Bonn konferencji, zorganizowanej przez grupę pod nazwą „Międzynarodowa Federacja Instytutów Badań Perspektywicznych”. Konferencja przyjęła rezolucję, która przeraziła wielu uczonych świata. Mówi się w niej m.in.: „Fakty świadczące o zmianach klimatycznych są takie, że nawet większość specjalistów nastroszonych jak najbardziej optymistycznie musi wróżyć wielkie nieurodzaje w najbliższych dziesięciu latach. Jeśli działać politycznie nie wzmaga pod uwagę tych nieomal na pewno grozących nam nieurodzajów, ludzie będą masami ginąć z głodu... Zdajemy sobie sprawę, że wśród specjalistów istnieją

rozbieżności zdań, co do przyczyn i następstw obserwowanych zjawisk. A zatem także co do prawdziwości tej prognozy. Te różnice poglądów są poważne, jednakże nie powinny one ukrywać jednomyślności w poglądzie, że obserwowane niekorzystne zmiany klimatu nie są ani krótkotrwałe, ani przemijające”.

Oświadczenie to wywołało oburzenie i falę protestów. W konsekwencji kataryczne sformułowania rezolucji zostały później złagodzone. Wielu klimatologów i meteorologów wystąpiło także z żądaniem usunięcia sformułowania „jednomyślności”, na którą po-

niowano wchłanianie atmosfery i ziemi i przekształca się ono w ciepło.

Ponad połowę ciepła atmosferycznego wytwarza tropiki: wskutek kulistej kształtu Ziemi promienie słoneczne padają na równiku pod mniej ostrym kątem niż na biegunach. Dlatego tropiki porównuje się często do „kotła parowego”, który wprawia w ruch „silnik atmosferyczny” naszej planety.

„Nadmiar” ciepła tropikalnego przemieszcza się od równika do biegunów. Mniej więcej trzecią jego część przenoszą ciepłe prądy oceaniczne, a dwie trzecie — wiatry nasycone wilgocią. W strefach umiarkowanych i polarnych ów „nadmiar” ciepła wypromieniowuje się w przestrzeń.

Prosty system cyrkulacji ciepła przyjmuje w zasadzie formę trzech stref prądów okólnych. Góry zatrzymują prądy powietrzne, a obrót Ziemi odchyła powietrze przemieszczające się do biegunów, wskutek czego nie dociera ono do nich „dostatecznie szybko, żeby móc tam „oddać” nadmiar energii. Jednakże powstające przy tym wiatry tworzą wielkie systemy sztor-mowe, które są „supermocnymi” przenośnikami ciepła do biegunów. Energia wyzwala się także drogą innych procesów, na przykład w postaci opadów. „Surowcem” deszczów są pary wodne. Wznoszą się one znad powierzchni oceanicznych pod działaniem promieni słonecznych, przede wszystkim w tropikach. Te molekuly „gazowej postaci” wody, posiadając w sobie utajoną energię, unoszą się w górę i przemieszczając się w kierunku biegunów ulegają ochłodzeniu. W miarę ochładzania się molekuly coraz bardziej „sklejają się” w kropki, wyzwalaając energię wchłanianą uprzednio w tropikach w czasie parowania. Ostatecznie na ziemi spada deszcz. Powstawanie chmur i deszczu nie jest jeszcze procesem wyjaśnionym do końca.

Energia wydławuje się także w wiatrach przysuwających formę huraganów, trąb powietrznych, w wyładowaniach elektrycznych i innych. Wskutek tych nieustannie zachodzących procesów, na całym świecie, przez całą dobę grzmi 75 tysięcy przeróżnych burz.

Trudno to wszystko zrozumieć, nie znając mechanizmu tropikalnego „silnika ciepła”. Dla meteorologów strefy tropikalne są w większości białą plamą, i dlatego że są mało zaludnione, i dlatego, że większość krajów położonych na równiku jest zbyt biedna, by asygnować odpowiednie środki na kosztowne programy badań praw pogody.

Mimo różnych trudności uczeni pracują jednak nad poznaniem mechanizmów zmian klimatycznych. Obecnie, dzięki szerokiej współpracy międzynarodowej meteorologów, klimatologów i specjalistów innych dyscyplin naukowych, otwierają się w tej dziedzinie szersze perspektywy.

Opracował: JERZY CZECH

HELSINKI PO RAZ TRZECI

GERALD FORD W POLSCE

Ostatni tydzień lipca przynosi dwa wydarzenia, które wymieniamy chronologicznie: wizytę w Polsce prez. G. Forda oraz trzeci i finalny etap Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Oba też poświęcimy dzisiejszy przegląd aktualności.

Rozpoczynająca się w Helsinkach w dniu 30 lipca trzecia faza konferencji, tym razem na najwyższym szczeblu, więcej długotrwałe i często trudne dyskusje, 35 państw na temat zasad, którymi powinny kierować się rządy, aby zapewnić narodowi bezpieczeństwo i stworzyć warunki wzajemnie korzystnej współpracy na wielu polach.

Idea konferencji zrodziła się przed z górą 10 laty, a w 1966 roku przyjęła postać programu zapewnienia bezpieczeństwa i współpracy na naszym kontynencie w Deklaracji Bukareszteńskiej Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego. Tę też datę można przyjąć za początek zorganizowanych działań krajów socjalistycznych, które nie zaniedbywały żadnej okazji,

aby uświadomić wszystkim państwom europejskim, a także Stanom Zjednoczonym i Kanadzie konieczność zwołania takiej konferencji. Inicjatywa wspólnoty socjalistycznej nie bez oporów torowała sobie drogę. Niektóre koła polityczne, jeśli nawet nie odrzucały tej idei, zwlekaly z jej realizacją. Czas jednak potwierdził zasadność stworzenia ogólnoeuropejskiego forum. I tak w listopadzie 1972 roku rozpoczęły się w Helsinkach wielostronne rozmowy przygotowawcze, a w prawie osiem miesięcy później — pierwsza faza konferencji, w której uczestniczyli ministrowie spraw zagranicznych. Ustallili oni kierunki prac dla drugiej roboczej fazy w Genewie. Ta trwała od września 1973 roku do połowy lipca br. i złożyły się na nią rokowania i opracowywanie dokumentów. Teraz — na trzecim etapie prac konferencji — najwyżsi przedstawiciele 35 krajów złożą podpisy pod uzgodnionymi już uchwałami. Jak wiadomo z opublikowanego komuni-

katu, polskiej delegacji w Helsinkach przewodniczył Edward Gierk.

Aby określić rangę Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie wystarczy stwierdzić, że przy zachowaniu pełnego partnerstwa wszystkich uczestników konferencji ustalono dziesięć zasad, na których opierać się będą stosunki między tymi państwami. Są to: suwerenna równość i poszanowanie praw, wynikających z suwerenności, powstrzymanie się od groźby lub użycia siły, nienaruszalność granic, pokojowe rozstrzygnięcie sporów, nieingerowanie w sprawy wewnętrzne, respektowanie praw człowieka, równouprawnienie i prawo narodów do samostanowienia, współpraca między państwami, wykonywanie w dobrej wierze zobowiązań, wynikających z prawa międzynarodowego. Wszystkie wymienione zasady wywodzą się z Karty Narodów Zjednoczonych, zostały jednak skonkretyzowane i przedstawione łącznie jako podstawa stosunków w Europie. Ich przyjęciem państwa, uczestniczące w konferencji, wyrażają całkowitą aprobatę dla pokojowego współistnienia. Inaczej mówiąc — Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy niepomniernie ułatwia przekształcenie naszego kontynentu w kontynent trwałego pokoju i zgodnego współdziałania państw. Może też być czynnikiem, stabilizującym pokój na całym świecie.

Oczywiście, nie nastąpi to automatycznie, o pełną realizację zasad konferencji toczyć się będzie z pewnością niejedna walka. Nietrudno tak przewidywać, jeśli się pamięta, że

również na europejskim kontynencie nie brak przeciwników pokoju i współpracy państw. Ten fakt nie pomniejsza rezultatów konferencji, a odwrotnie podkreśla wysiłek wszystkich sił politycznych, które do jej sukcesu dążyły.

Wielkie ogólnoeuropejskie wydarzenie, jakim jest trzecia faza Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy, poprzedzone zostało w Polsce innym — oficjalną wizytą prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Kiedy w październiku ub. roku komentowaliśmy na tym miejscu wizytę Edwarda Gierka w Stanach Zjednoczonych — pisaliśmy m.in., że zapoczątkuje ona nowy etap w stosunkach polsko-amerykańskich, które będą się rozwijać. Podkreślaliśmy również, że obie strony są zainteresowane kontynuacją dialogu. Tę możliwość stworzył przyjazd G. Forda do Polski. Tak więc w odstępie krótszym niż rocznym po raz drugi I sekretarz KC PZPR i prezydent USA mogli omówić stan dwustronnych stosunków oraz niektóre problemy międzynarodowe.

Szerokie tło rozmowom dał pogłębiający się proces odprężenia, klimat Helsinek i rozwijającej się współpracy radziecko-amerykańskiej, której najlepszym przykładem jest dopiero co zakończona wyprawa „Sojuz” i „Apollo” w kosmos.

WITOLD SŁAWSKI

FILM

PERFEKCJONIZM

Film „NIE OGLĄDAJ SIĘ TERAZ” stanowił jedną z najbardziej atrakcyjnych pozycji tegorocznych Konfrontacji. Atrakcyjność ta w głównej mierze wynikała z faktu, iż film ten był przykładem rzadko w kinach naszych oglądanego gatunku horror, przykładem przy tym bardzo wysublimowanym. Tę cechę filmu wyjaśnia sam reżyser, Nicolas Roeg wyprzedzając konwencję „Nie oglądaj się teraz” z innej tradycji niżeli ta, którą ucieleśnia filmowy horror. Roeg styl swego filmu określa jako „gotycki”, nawiązuje tu do silnej w literaturze i sztuce anglosaskiej tradycji jeszcze przedromantycznej „gotyckiej” powieści grozy. Nicolas Roeg jest autorem trzech filmów, w których niesamowitość nastroju towarzyszy powtarzającemu się motywowi. Jest nim obraz świata, w którym ludzie żyją w cieniu śmierci, na próżno usiłując pojąć sens tego co ich otacza, tego co określiłoby sens ich działań i istnienia.

Jak go znał, tak go znał — film grozy czy film gotycki — „Nie oglądaj się teraz” pozostaje dla nas przykładem bardzo modnych w zachodnim kinie filmów, wywołujących nastroje niezwykłości, niesamowitości czy wręcz mistycyzmu. Jest przy tym film Roega przykładem kina zrealizowanego z ogromną kulturą i perfekcjonizmem warsztatu. Rzecz można więcej, ów perfekcjonizm powoduje wrażenie, iż taki nakład talentu i umiejętności warsztatowych musi kryć coś więcej niżeli tylko intencje oddziaływania na emocje widza. Być może przyswajały one również Roegowi. Wydaje mi się jednak, że film ten jest wewnętrznie pusty, a niezwykłość opowiedzianej w nim historii nie przekracza pułapu doznań emocjonalnych, które na dodatek z wyższych szczebli samej wrażliwości doprowadza gwałtownie groteskowy finał opowieści. Przy konstatacji tej pozostając, muszę jednakże przyznać, iż tak znakomitą realizację ściśle filmową, jaką ujawnia w „Nie oglądaj się teraz” Nicolas Roeg rzadko udaje się nam w kinie odnaleźć.

Artystycznym rodowodem Roega jest sztuka operatorska. Był autorem zdjęć w filmach wielu wybitnych reżyserów, jeśli wspomnieć tylko fascynujący obrazem film Johna Schlesingera „Z dala od zgiełku” czy „Fahrenheit 451” Francois Truffaut. Operatorskie umiejętności Roega procentują w dwójnasób w filmach samodzielnie przez niego reżyserowanych. Metaforycznie nieco można by powiedzieć, że Nicolas Roeg „myśli kamerą”, jako że wszystko co w filmie jego się dzieje i znaczy, wyrażone jest filmowym obrazem. To przy pomocy kamery Roeg realizuje słowa bohatera filmu wypowiedziane w pierwszej sekwencji: „Nie jest takie jak się wydaje”. Ta ująta w obrazach filmu Roega wieloznaczność wywołana została owym niezwykłym sposobem widzenia kamery, narracją wizualną, budowaną niezwykle skomplikowanym montażem, podpatrywaniem rozbijaniem i analizowaniem szczegółu oraz nie, zwykłą grą czasu, którego logika jest konsekwentnie burzona.

Roeg buduje atmosferę i napięcie w sposób zupełnie niezwykły. Nie decyduje o tym budownia sama w sobie fabuła, lecz jej mikrozdziarzenia i poszczególne sytuacje oraz powtarzalność pewnych motywów wizualnych. Wśród tych ostatnich na zasadzie leitmotywu powracają obrazy: lustrzane, spływające, spływające, rozpryskujące się wody, budzą one niepokój, zapowiadając nadchodzące zdarzenia.

Modelowymi przykładami niezwykle obrazowonarracyjnej metody takiej analizy zdarzeń, by nadać im ów niepokojący walor są cztery najznakomitsze sceny tego filmu: śmierć dziecka, omdlenie Laury, wypadek Johna na rusztowaniu i scena miłosna. Niezwykły sposób obrazowania tych zdarzeń i ich montażowe rozbięcie prowadzi do stworzenia zupełnie nowej ich jakości. Jej celem jest sama niezwykłość, ujawnienie owego cienia śmierci towarzyszącego parze bohaterów. Gdyby Roegowi udało się efektu tego nie zburzyć samą banalną choć niezwykłą fabułą, powstałby film, którego wartość nie sprowadzałaby się do tych wrażeń jedynie. Gdy mowa jednak o wrażeniach przynależnych, że zawiązkujemy Roegowi najwspanialszy film o Wenecji, umierającym mieście, które fascynuje ludzi sztuki zawsze.

Nicolas Roeg jest człowiekiem obdarowanym talentem, który wydaje się stanowić o istocie kina. Jak bardzo jest to sprawa złożona niech świadczy jednak uczucie niedosytu towarzyszące filmowi „Nie oglądaj się teraz”. Absolutne wyczerpiecie owego istoty nie decyduje bowiem jeszcze o wartościach, które przekroczyłyby próg wywołania zachwytu dla perfekcjonizmu warsztatu.

EWA NURCZYŃSKA

WATERGATE VII

Decyzja Sądu Najwyższego w sprawie wydania taśm, których domagał się prokurator Jaworski, miała okazać się dla Nixona straszną w skutkach. Zwrócenie się przez niego do Sądu Najwyższego i zerwanie tym samym możliwości osiągnięcia kompromisu ze specjalnym prokuratorem, o co tak usilnie zabiegali doradcy prezydenta świadczy, iż Nixon całkowicie nie zdawał sobie sprawy z niszczącego potencjału, jaki zawierały owe nagrania. Świecie wierzyli, że Sąd Najwyższy oddaliłby żądanie specjalnego prokuratora, zupełnie ignorując ostrzeżenia prawników Białego Domu, że szanse na to są niewielkie. Toteż decyzja sądu jaka zapadła 24 lipca 1974 r. całkowicie go zaskoczyła. Na naradzie zwolnionej przez prezydenta w związku z takim obrotem sprawy dyskutowano przez cały dzień nad tym czy zastosować się do owej decyzji. Nixon, który jako jedyny znał tajemnicę jakie kryły nagrania (przesłuchał je bowiem w maju, gdy Jaworski wydał wyrok nakazujący na przekazanie ich sędziemu Sirice), trwał przy oporze. Skłonił go dopiero wówczas, kiedy St. Clair (advokat Nixona, jeden z najwybitniejszych prawników w USA) zagroził podaniem się do dymisji i w ten sposób spowodował lawinę dalszych wydarzeń.

Pierwszym z ludzi Nixona, który zorientował się w sytuacji był Fred Buzhardt, jeden z doradców prezydenta. Jemu bowiem powierzono kontrolę taśm, które miały być wydane. W końcu lutego 1974 roku Buzhardt przesłuchał taśmy, w tym trzy z 23 czerwca 1972 roku i natychmiast zrozumiał ich znaczenie. Szczególnie obciążające dla prezydenta były właśnie taśmy czerwone. W pierwszej z nich i najbardziej obciążającej Haldeman powiedział prezydentowi, że John Mitchell może być zamieszany w całą operację i że FBI prowadzi „śledztwo w pewnych kierunkach, które nie są dla nas wygodne”, mianowicie iż wpadło na ślad, że finansowanie wlamania prowadzi do CREEP (Komitetu Wyborczego Prezydenta). Następnie obaj omawiali strategię użycia CIA do stordowania dochodów FBI oraz wysnuwali projekty kompromisu dla sparaliżowania działalności Federalnego Biura Śledczego. „Dokonałem” — powiedział prezydent, kiedy Haldeman przedstawił plan, który Nixon przyjął za swój. „Trzeba wykluczyć FBI i na razie nie działać dalej w tej sprawie”.

Buzhardt natychmiast podzielił się swoim odkryciem z Deaneem Burchem i Leonardem Garmentem, prawnikami Białego Domu oraz Alexandrem Haigiem — następcą Haldemana na stanowisku szefa personelu Białego Domu. Haig następnie przedstawił wszystko St. Clairowi. Wszyscy oni doszli do wniosku, że Nixon będzie postawiony w stan oskarżenia i uznany za winnego, jeśli nie poda się do dymisji. Jednego tylko nie mogli uzgodnić, w jaki sposób poinformować Nixona o beznadziejności sytuacji. Po długich naradach postanowili posłużyć się w tym celu kimś spoza najbliższego kręgu i wybór ich padł na kongresmana Charlesa Wigginsa, który kierował obroną prezydenta w czasie debaty komisji prawnej Izby Reprezentantów. Działanie ich miało podwójny cel — z jednej strony chodziło im o zapoznanie się z poglądami Wigginsa z ewentualnymi reakcjami Kongresu z drugiej zaś, ileczi, iż Wiggins może zagrozić Nixonowi ujawnieniem całej sprawy, jeśli prezydent nie będzie chciał się podać do dymisji.

Wiggins po zapoznaniu się ze stenogramami nagrań z 23 czerwca wydawał się być całkowicie zdruzgotany. Zapytał Haiga i St. Claira co zamierzają z tym zrobić, czy przekazać te materiały komisji prawnej. St. Clair odpowiedział, że taśmy zostaną przekazane sędziemu Sirice, a tym samym trafią również do komisji prawnej. Zadaniem Wigginsa w tej sytuacji miało polegać na zapewnieniu do Nixona by przesłał się zrywając do procesu i rozpoczął przygotowania do przekazania władzy Fordowi. Liczono, że poprzez Wigginsa Nixon zostanie zmuszony do spojrzenia prawdzie w oczy. Jednakże prezydent uprzedził zamierzenia swoich doradców. Zaprosił ich bowiem do swej rezydencji w Camp David na ostatnią konferencję, w związku z kryzysem wokół urzędu prezydenta. W czasie tego spotkania Nixon wyrażał się nienaturalnie spokojnie. Doradcy postanowili wykorzystać te okazy do zapoznania prezydenta z sytuacją. Szczególnie długo rozmawiał z nim Haig. Mówił w sposób prosty i brutalny. Sytuacja jest krytyczna. Nagrania przekazane zostały Wigginsowi, który uznał, że są drugocenne i zmieniają całkowicie

szanse polityczne. Skutkiem ich będzie zwiększenie szybkości działania w Kongresie i pewność, że prezydent zostanie postawiony w stan oskarżenia. A zatem prezydent nie ma wyboru. Może bowiem opublikować materiały z 23 czerwca i zażądać szybkiego procesu w Senacie, albo podać się do dymisji. Zaskoczenie Nixona było całkowite. Widać było jednak, że zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, jak ostatnie wydarzenia, w katastrofalny sposób pogorszyły jego sytuację. Prosił o więcej czasu — miesiąc lub dłużej — aby znać właściwe wyjście i opracować nową strategię na wypadek procesu. Haig nie chciał o tym w ogóle słyszeć. Nalegał na natychmiastową decyzję.

„Taśmy trzeba opublikować. Wiggins zna ich treść i będzie mówił, jeśli Biały Dom nie zabierze głosu. Z kolei St. Clair będzie zmuszony do podania się do dymisji, jeśli nagrania będą utrzymane

stepnie żądane nagrania. Odpowiedź na pytanie czy prezydenta była błyskawiczna i gwałtowna. W ciągu 24 godzin, osłabione już przedtem do maksimum, poparcie dla Nixona załamało się całkowicie i stało się pewne, że zostanie on uznany za winnego. Ocierając lzy, odczytał apel do prezydenta o podanie się do dymisji. W ślad za nim poszło 16 kongresmanów, popierających Nixona w komisji prawnej. Sprawa była tam przegrana już wcześniej, gdyż wynik głosowania — 27:11 przeciwko Nixonowi, oznaczał postawienie prezydenta w stan oskarżenia konstytucyjnego.

Wydawało się, iż to co się działo aktualnie w Kongresie, Białym Domu, kwatery głównej partii republikańskiej, spowodowane wystąpieniem Nixona nie wywarło na nim żadnego wrażenia. Ku zdumieniu doradców 4 sierpnia wieczor-

Późnym wieczorem Haig i Timmons udali się do prezydenta, aby przekazać go o beznadziejności sytuacji. Powiedzieli mu, że wszystko przepadło, że dalszy opór przed dymisją jest bezsensowny. Nixon słuchał tego co mówili z wzrastającym uczuciem przygnębienia. Nie podjął ostatecznej decyzji, lecz kiedy delegacja wyszła, było pewne, że odeszł w ciągu 48 godzin. Pragnął on jeszcze jednego dnia, aby porozumieć się ze starymi przyjaciółmi i zwolennikami oraz pożegnać się z rodziną. Tego dnia Haig wydał Rayowi Price'owi, sekretarzowi Nixona, polecenie: „Rozpocznij pisać projekt oświadczenia o rezygnacji”.

Wszyscy ludzie z otoczenia prezydenta zachowywali się tak jakby decyzja już zapadła. Następnego dnia, 6 sierpnia, Haig poinformował Forda, że niedługo może zostać mu przekazany urząd prezydenta. Jednocześnie zatelefonował do Scotta, aby na czele małej delegacji przybył do Białego Domu, celem nakłonienia Nixona do rezygnacji z urzędu. „Prezydent — powiedział Haig — skłania się wyraźnie do wniosku, że jedynie co mu pozostało do wyboru, to rezygnacja... Jednakże potrzebna mu jest zachęta. Chciałby on usłyszeć od przywódców partii, jak naprawdę wygląda sytuacja”.

Późnym, szarym popołudniem przed Białym Domem pojawiły się limuzyny, z których wysiedli Scott, Rhodes i Goldwater. Haig, który powitał ich przed „Owalnym Pokojem” powiedział im szczerze, aby powiedzieli Nixonowi, że najlepszym dla niego wyjściem jest rezygnacja, prosił jednak, aby nie mówili mu tego wprost, ponieważ mogłoby to ożywić w nim na nowo ducha walki. Spotkanie to według relacji tygodnika „Newsweek” (z 19 sierpnia 1974 r.) miało przebieg następujący.

Prezydent powitał senatorów uściskami dłoni, a następnie usiadł w fotelu, kładąc nogi na biurko. „Co chcielibyście mi powiedzieć?” — zapytał choć zdawał sobie doskonale sprawę jakie uzyskał odpowiedź. Zaczął Goldwater: „Panie prezydencie, jeśli dojdzie do procesu w Senacie, to nie sądzę, żeby mógł pan liczyć na więcej niż 15 głosów”. Nixon skinął głową po czym zwrócił się do Rhodesa: „I nie więcej jak 10 w Izbie Reprezentantów. Prawda John?” „Być może więcej, panie prezydencie, ale na pewno niewiele więcej” — odpowiedział Rhodes. W odpowiedzi Nixon smutno stwierdził: „Naprawdę, prowadziłbym kampanię na rzecz wielu z nich, ale trudno, to jest polityka, Hugh — zapytał zwracając się do Scotta — jaka jest twoja ocena sytuacji w Senacie?” „Powiedziałbym 12 do 15 panie prezydencie”. Jednak Goldwater poprawił go szybko, mówiąc: „Wyobraź sobie, że najwyższe 4 lub 5 zostanie z panem na prawdę do końca, panie prezydencie”. Nixon jeszcze raz zwrócił się do Scotta, by podsumował sytuację. „Jest ponura”, krótko stwierdził Scott. Nieznaczny, sułkaski uśmiech pojawił się na ustach Nixona: „Ja powiedziałbym, że jest cholernie ponura”.

Misja zakończyła się zatem powodzeniem. Prezydent nie prosił już o rady, a trzej republikanie wcale się nim nie spieszyli. Na zakończenie spotkania Nixon zapewnił ich tylko, że decyzja jaka podejmie będzie w interesie narodu.

Wydaje się, iż właśnie w tym momencie została ona przypieczętowana. Prezydent szukał jeszcze tylko jej potwierdzenia. Dwukrotnie zawiadził się u niego Henry Kissinger. Podczas drugiej wizyty, która ciągnęła się do godziny 22:45, rano, omawiali kluczowe problemy międzynarodowe. Nixon nie wykazywał jednak szczególnego zainteresowania aktualną sytuacją na arenie światowej, bardziej interesowały go ewentualne skutki jakie wywarłyby na politykę ograniczenia długotrwały proces przed Sejnatem. W odpowiedzi usłyszał, że na pewno byłoby one katastrofalne. Sekretarz stanu delikatnie doradzał prezydentowi rezygnację. Nixon już wyraźnie załamany odpowiedział mu, że właśnie na to się zdecydował.

Dzień 7 sierpnia, ostatni dzień jego urzędowania, upłynął na rozmowach telefonicznych z przyjaciółmi, na spotkaniach z rodziną. Prezydent żegnał się z Białym Domem, a przecież do wygaśnięcia kadencji pozostało jeszcze ponad dwa lata. Następnego dnia miał jako pierwszy w historii USA prezydent ogłosić swoją rezygnację z urzędu. Tak oto trwający już ponad dwa lata, najpoważniejszy kryzys wewnętrzny w historii Stanów Zjednoczonych, powoli zbliżał się do swego apogeum.

ANDRZEJ BLAJER ZA PIĘĆ DWUNASTA



Fot. Archiwum

ne w tajemnicy, a to oznacza klęskę dla obrony.”

Aby wywrzeć jeszcze silniejszą presję na Nixona, Haig włączył nawet do sprawy Kissingera, telefonując do niego z prośbą o przedstawienie prezydentowi argumentów za koniecznością rezygnacji.

Następnego dnia, a był to już 3 sierpnia, Nixon zdecydował się wreszcie opublikować nagrania. Krok ten w opinii jego doradców powinien przypieczętować los prezydenta. Postanowili więc rozpocząć szybkie przygotowania do przejęcia władzy przez wiceprezidenta Forda, który objął tę funkcję po Spiro Agnew. Sam prezydent nadal był zupełnie nieświadomy niebezpieczeństwa. Powiedział on na przykład jednemu z doradców:

„Ta sprawa uspokoi ich na parę tygodni, a ja sam będę mógł przygotować swoją obronę z chłiwą, gdy ta mgła opadnie”.

W tym samym czasie otoczenie Nixona wiedziało doskonale, iż wkroczył on w decyzję, końcową fazę rozgrywki i zaczął przygotowywać Waszyngton na te okoliczności. Tegoż dnia Haig poinformował o sytuacji stu czołowych urzędników Białego Domu. Jednocześnie St. Clair, Buzhardt i William Timmons podjęli odpowiednie działania w Kongresie. Materiały obciążające Nixona przedstawiono komisji prawnej, a następnie przywódcy republikańscy w Senacie senatorowi Hugh Scottowi. Nikt nie mógł uwierzyć w to, co prezentował im St. Clair.

Tymczasem nadszedł moment, w którym Nixon przyszedł się do ukrywania prawdy o aferze. Miało to miejsce 4 sierpnia na konferencji prasowej w Białym Domu. Zgodził się zarazem udo-

rem wraz z żoną i córkami udać się na przejażdżkę po Potomacu jachtem „Sequoia”, z której powrócił w dobrym humorze.

Następnego dnia, kiedy Waszyngton trząsł się od plotek i posłosek, Nixon zwołał posiedzenie gabinetu i oświadczył, że chce omówić problem numer 1, jaki stoi obecnie przed Ameryką, mianowicie... inflację. Następnie przez 25 minut mówił o swych własnych problemach, podkreślając, że nie ma żadnego zamiaru ustępować.

„Ustępowanie jest luksem zwykłego obywatela, ale nie prezydenta. Dlatego — powiedział — moim obowiązkiem jest pełnić swój urząd do końca kadencji”.

Tymczasem w mieście gorączka rosła. Wszyscy czekali na rezygnację prezydenta. Przed Białym Domem zaczęły gromadzić się tłumy. Przy dalekopisach czekano na wiadomość, co do której wszyscy byli pewni, że nadejdzie. Jednakże nie nadezła. Wreszcie przeciwni Ford po posiedzeniu gabinetu udał się na zamknięte posiedzenie komisji politycznej partii republikańskiej w Senacie i zakomunikował decyzję prezydenta pozostania na stanowisku. Senatorowie byli wyraźnie zaskoczeni i zdumieni. Postanowili wysłać delegację do Nixona, aby przełamać jego opór. Prezydent tymczasem dochodził już do granicy tego oporu. Z gabinetu wyszedł z twarzą poważną i popołudnie spędził w samotności, kontaktując się tylko z rodziną oraz z jednym z najbliższych, lojalnych stronników. Cały czas robił wrażenie człowieka nie zdającego sobie sprawy z okazyjającej go rzeczywistości. Zdawał sobie tymczasem sprawę z tego co się dzieje, jego najbliżsi współpracownicy i jak mogli starali się przyspieszyć bieg wydarzeń.

SPRAWY LUDZI

WIERNOŚĆ

To nieprawda, że pamięć bywa wierna lub niewierna — pamięć jest postacią wierności, jedną z wielu postaci wierności. Pamięć, podobnie jak inne postacie wierności, ogarnia całość kształtu znanego bytu, a zapewne także byt nie znany, od elementarnych zjawisk fizycznych, do najwyższych sfer moralnych, inteligentnych. Jeżeli pochwytniemy pręt i zegniami parokrotnie w określonym miejscu i jeżeli kiedyś ujmiemy go ponownie, pręt ów ujawni tendencję do zginięcia się właśnie w tym samym miejscu. Oto elementarna „przedpamięć”, czy też „przedwierność” materii. Mogłobyś udowodnić pamięć i wierność roślin — radość roślin, które przy niektórych dźwiękach rozwijają się bujnie, przy innych marnieją

(rolnicy przyszłości z pewnością będą ludźmi muzykalnymi). Wreszcie wierność psa — jest to wierność totalna, absolutna, wolna od elementu kalkulacji, pies wierny jest przegranej sprawie przegranej pana — o sobości nie wie, że aby ta cnota psa sprowadzała się tylko do zespołów bezwarunkowych i warunkowych odruchów, jak to głosi neokartezjanizm Pawłowa (Kartezjusz i jego uczniowie uważali zwierzęta wyłącznie za rodzaj automatów, odmawiali im nie tylko świadomości, ale także godności cierpienia).

Kwestie wierności komplikują się niepojemnie na etapie życia, które jest zdolne samo siebie świadomie przeżywać — na etapie człowieka. Wierność jest także, a nawet zasad-

nico cechą immanentną, aby okazywać wierność innym należy być wiernym samemu sobie. Człowiek bywa niewierny samemu sobie, a nawet niekiedy to niewierność uważa za walor wysoce dodatni — „jestem sam dla siebie niespodzianką” co podobno świadczy o bogactwie psychiki.

Osobliwa dynamiczna kariera człowieka — człowiek ogromny skok ewolucji — powikłał prawa wierności. Nadmiernie refleksyjny, hamletyzujący postrządał zmysł wierności, a niedostatecznie zmysł rozum wierności. Człowiek niejednokrotnie pragnie być wierny, ale nie potrafi. Przydługie rozważania komplikują akt wierności, przydługie analizy... a co to jest analiza? Analiza to rozkładanie obiektu na składniki, na części, na elementy. Otóż rozłożyć na części można to tylko co złożone, a nie to co proste. Otóż wierność to funkcja prosta, elementarna i dlatego przydługie, bezowocne próby analizy sprowadzają stan psychicznego zmg-

czenia, połączony z odrzą do wierności funkcji opornej analizie.

Człowiek współczesny popożnia niejednokrotnie zdradę by zażył stanu przeciwnego wierności. Człowiek współczesny jest zmęczony wiernością, nie dlatego, że zbyt długo ją praktykował, lecz dlatego, że zbyt długo o niej rozmyślał, zbyt długo i bezskutecznie. Sam często się łapie na przewlekłych rozmyśleniach o wierności. Ktoś w rozmowie ze mną zganił wierność, nazwał ją cechą głupców i nieuolników. Był to człowiek totalnie, absolutnie niewierny, w wyniku swoich praktyk pomógł mi zginąć, zginął wolać, że ma rację. Co do mnie codziennie myślę, komu jestem winien wdzięczność, czy aby dokładnie pamiętam? Pamiętam — przecież pamięć jest postacią wierności.

BERNARD SZTAJNERT

Sprawowanie władzy nie jest — wbrew pozorom — takie złe. W trudne, skoro już starożytni Grecy radzili sobie najgorzej, a przecież nie mogli korzystać z tak bogatych doświadczeń, jakimi dysponujemy obecnie. Dzisiaj każdy reprezentant władzy, z którym mamy do czynienia każdego dnia, a więc — sprzedawca w sklepie, referent gminny, prezes spółdzielni, kierownik samodzielnego referatu, urzędnik w ogólności — czepie z przebogatych tradycji, którą mu poprzednicy zostawili, korzysta także z osiągnięć bieżących.

Nietrudno w tak pomyślniej sytuacji wypunktować owe pożądane cechy, w jakie władza powinna być wyposażona, aby pełnić, obywatel, czy, po prostu, człowiek — był zadowolony. W pierwszym rzędzie musi chodzić o wzajemną serdeczną, więź użycia dla podwładnego, którego będziemy nazywać w skrócie — człowiekiem. A oto przykład: pan prezes spotkał się ze swoim personelem z okazji podsumowania roku gospodarczego. Złożył piękne wszystkim podziękowanie, a zakończył takimi słowami, bez pomocy kartki: „Jeszcze tu sobie możemy, aby w nowym roku nam się powiodło dobrze, wam nieźle”.

W takim ujęciu zaczyna się to nikomu niepotrzebne, jatrzące i wy, Pracownicy odpowiadają na takie przesowskie dictum zazwyczaj w następujący sposób: „Nasz prezes jest jako ta lokomotywa, a my jako te wagoniki, które nie mogą hamować pędu wspaniałego pociągu”. I tak oto w milę, tworząc atmosferę osłagi moralną jedność.

Władza dba o dobre samopoczucie człowieka, radzi mu jak może najlepiej, inaczej mówiąc — troszczy się. W pewnym biurze konstrukcyjnym we Wrocławiu wisiał taki napis: „Jeśli nie masz co robić, nie rób tego tutaj”. Myślę, że trudno o lepszą radę w dziedzinie dyscypliny pracy. Szczególnie wysoko jest notowana troska o interesy kobiet pracujących. I w tym zakresie jest się czym pochwalić. W jednej z fabryk referent bhp uśmiecił w hali maszyn takie oto dobre rady: „Kobiety robotnicze! Jeśli wasze kombinony są zbyt luźne — uważajcie na maszyny. Jeśli są zbyt obcisłe — uważajcie na maszynistów”.

Jestem zdania, że tego rodzaju przejawy troski należy zgłaszać w urzędzie patentowym, gdzie są bowiem nie tylko upowszechnienia, ale i nagrody, godzą bowiem ogólny interes produkcji z osobistym, żeby już nie powiedzieć intymnym.

Dobra władza nie zna przerwy w działaniu, dla władzy nie istnieje urlop, służba w interesie człowieka obowiązuje każdego dnia — w godzinach przyjęć ma się rozumieć. Otóż zdarzyło się w pewnym miasteczku, że wjechał na urlop urzędnik Stanu

Cywilnego. Przypadek nie taki znowu rzadki, nie przesadzajmy, ale ów urzędnik wywiesił na służbowych drzwiach rzadką instrukcję dla petentów: „W sprawie świadczeń urodzenia i śmierci zgłaszać się do referenta Ko-

niego władza spodziewa. Sygnalizuje to ważne zagadnienie, ponieważ lekceważymy sobie jeszcze często język, przy pomocy którego chcemy się porozumieć z odbiorcą, klientem, petentem, użytkownikiem, pasażerem, konsumentem, nazywanym w skrócie — człowiekiem. Nie bez satysfakcji więc stwierdzamy znaczny postęp w tym zakresie, raz po raz spotykamy apele, w których już wiadomo, o co właściwie chodzi. Na dowód przytaczam taki fakt: pewien soltys małej wioski otrzymał formularz bardzo ważnego urzędu z długim, naukowym pouczeniem, jak go wypełniać. Chodziło o ustalenie procentu śmiertelności we wsi. Po odpowiednich studiach nad pouczeniem soltys napisał: „Przebieg wypadu u nas jedna śmierć na osobę”.

pomysł racjonalizatorski. Wypisał mianowicie na tabliczkach odpowiedzi na najczęściej zadawane pytania i zamiast gadać wyciągał, zależnie od potrzeby, tabliczki z napisami: Tak — Nie — Nie wiem. Po krótkim doświadczeniu przygotował jeszcze jedną tabliczkę z napisem: „Pan mnie też!” i wszystko gra jak w zegarku.

A teraz dotknę sprawy trochę delikatnej. Czy dobra władza może stosować pewne elementy nacisku? Czy może w koniecznych wypadkach posługiwać się, będąc szczerą, groźbą? Może, sek wszakże w tym, jak to się robi. Komenda Ochotniczej Straży Pożarnej w miasteczku P. wystosowała do obywateli list następującej treści: „Szanowny Obywatelu! Ponieważ mamy zamiar kupić nową sikawkę, prosimy uprzejmie Obywatela o nadesłanie dobrowolnej ofiary, w przeciwnym bowiem razie będziemy zmuszeni urządzić koncert”.

Ta bardzo taktowna groźba poskutkowała znakomicie, straż zafundowała sobie ponoć nie jedną ale dwie sikawki.

Dzieje władzy to w pierwszym rzędzie dzieje jej autorytetu, władza nie może pozwolić na to, żeby jej w kaszę dmuchano. Zdarzyło się to w jednej z restauracji w byłym lipskim powiecie. Do książki zażalen zostało wpisane co następuje:

„W dniu 2.III. 1972 r. będąc w towarzystwie 2 osób, poprosiliśmy o kawę i 3 małe wódki. Czekaliśmy 25 minut. Po upływie tego czasu ponagliśmy o szybszą obsługę mówiąc, że nie ma wielu konsumentów, a my nie możemy się doczekać. Wtedy bufetowa powiedziała, że moje miejsce jest w GRN, której jestem przewodniczącym, a nie w gospodzie. Wypraszam sobie takie traktowanie i wnoszę o ukaranie bufetowej”.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że bufetowa poniosła karę za próbę ograniczania władzy do jej siedziby służbowej. Ten rodzaj konfliktów występuje jednak rzadko i władza nie jest na ogół zmuszana do produkowania się w książkach zażaleń.

Władza nie może być rozproszona, to przeszkadza w podejmowaniu, przeczy zasadzie jednoosobowego kierownictwa. Idealna w tym istotnym względzie sytuację odnotowaliśmy w pewnej podkrakowskiej wsi, gdzie polecono sekretarce GRN, aby poprosiła na ważne zebranie 15 osób z miejscowego świecznika — prezesów, sekretarzy, przewodniczących. Wszyscy zaproszeni przybyli na zebranie, a jednak było ich tylko dwóch, jeden pełnił siedem funkcji, a drugi osiem. Zebranie dotyczyło kwestii podstawowej — czy nie należałoby dla dobra sprawy zrezygnować z jednego?

I wreszcie sprawa ostatnia — trzeba mobilizować, uaktywniać, podnieść, przekazać, tak jak to czyni Zarząd Gminnej Spółdzielni w miejscowości S. leżącej w byłym powiecie Sokółów Podlaski. Plan pracy uchwalono jednogłośnie, a można w nim znaleźć i takie dumnie brzmiące zdanie: „Wzmocnić werbunek nowych członków do spółdzielni, oraz urealnienie dotychczasowy stan przez ożywienie członków zarządy”.

Uczy się więc, korzysta jak najlepiej z doświadczeń innych, nie pozostawiać zmarłych ich własnemu losowi, a wszystko będzie dobrze.

MOJA RECENZJA KINO



Spodziewałam się czegoś większego...

ZDOBYCIE KOŁOBRZEGU

Już po raz dziesiąty kołobrzesci amfiteatr podejmował na swojej estradzie czołowiec piosenki kraju w ramach Festiwalu Piosenki Żołnierskiej. Wykonawców w tym roku nie było ani mniej, ani więcej niż w latach poprzednich (zorganizowano także osobne popołudniowe koncerty dla zaproszonych amatorów). Także z piosenkami i publicznością, która na wygłodzie i na rozrywki estradowej urlopie na Wybrzeżu, dopisała znakomicie nawet na dwóch dodatkowych imprezach — ludzie przyszli, bo chcieli się bawić.

Nie będzie chyba przesadą jeśli powiem, że festiwal kołobrzesci ma spośród wszystkich krajowych festiwali piosenki — najbardziej ludyczny charakter. I tu właściwie leży zasadnicza sprzeczność: pomiędzy patosem płynącym z estrady a okaskowym skandowaniem widowni. Nie tedy dziwne, że widzowie oczekują z największą niecierpliwością piosenek, które są regulaminem określone jako marszowe tzn. rytmicznych, pogodnych i wojskowych, ale nie wojennych. I tylko takie utwory poparte dobrym wykonaniem mają szansę stać się wakacyjnymi przebojami, będąc jednocześnie trwałym śladem tego festiwalu.

W tym roku wśród piosenek przedstawionych do oceny wieloosobowemu jury pod przewodnictwem prof. Tadeusza Maklakiewicza niewiele — niestety — było ciekawych propozycji, przy czym nie bez wpływu był — i pozostaje nadal — fakt ograniczenia twórców, a przede wszystkim autorów tekstów, jedną i tą samą tematyką. Ten kanon konieczności domaga się poprawki, co już nie po raz pierwszy zresztą udowodnił IX Festiwal. Znam wśród kompozytorów i tekstarzy — ludzi, którzy „nastawiają się” co roku na początek lipca, by wystawić w Kołobrzegu kilka piosenek, które z reguły powielają ten sam schemat lub eksplatają

ten sam pomysł. I właśnie taka specjalizacja w tworzeniu piosenek o tematyce żołnierskiej doprowadza do tego, iż razą ona wtórnością, są niestrawne i wreszcie zanizają ogólny poziom tej imprezy.

Po tych krytycznych uwagach miło nam donieść, że — podobnie, jak w latach ubiegłych — świetnie, w „końcowej klasyfikacji” wypadli przedstawiciele Łodzi. Nie tylko usatysfakcjonowano ich głównymi nagrodami i wyróżnieniami, ale także obiektywnie można było stwierdzić, że tak ich piosenki, jak i sposób ich przedstawiania stawali lodzian zdecydowanie wyżej od kolegów reprezentujących inne ośrodki. Wśród nagrodzonych i wyróżnionych znaleźli się: Krzysztof Krzewczyk, zespół „Trubadury”, Krzysztof Cwynar, Jacek Lech oraz kompozytor Włodzimierz Korcz i dwaj aranżerowie: Andrzej Zylis i Jacek Malinowski. Z aplauzem przyjęła widownia również występy Lucyny Owsńskiej, „Pro Contr” oraz grupy „NO TO CO”.

Ktoś powiedział mi na pofestiwalowym bankiecie, że to, czego w tym roku dokonała Łódź (wprawdzie niektórzy z wymienionych wyżej wykonawców pracują dzisiaj w innych pozałódzkich ośrodkach, niemniej ich związki z Łodzią są bardzo ścisłe), nazwać można trzecim zdobyciem Kołobrzegu. Jest w tym trochę — milęć dla nas — racji; tym bardziej że nie tylko zdobywcy o tym procent zdobytych laurów (niespełna połowa — dla lodzian), ale także obiektywne walory poszczególnych wykonawców tak fortunnie prezentujących swoje piosenki w kołobrzescim amfiteatrze.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Na sali sama młodość. Młody sędzia na wysokim fotelu. Młody prokurator w toczce z czerwonymi wypustkami. Młody protokolant. Dwóch młodych ławników. Ławy dla publiczności i szczerze wypełnione. Również młodość. Chłopcy w wieku przedpoorowym. Marynarskie spodnie, obcisłe marynarki, jaskrawe skarpetki, krzyżące krawaty. Dziewczęta różne. Niektóre bardzo ładne. Krótkie obcisłe spodniczki. Kolbrowe sweterki. Koturny. Przesadnie wymakijazowane. Na ławie oskarżonych, pod eskortą milicjanta, ponury chłopak. Nie powiedział dotąd ani słowa. Ubrany jak inni — niedbałe i „nowocześnie”. Szczupły, nieduży, dobrze zbudowany. Prosty nos, rozwichrzone, kasztanowe włosy.

— Proszę wstać, gdy Sąd przemawia! — Podnosi się niechętnie, ociężałe. Nie patrzy na sędziego. — Lat? — Osiemnaście. — Zawód? — Wzrusza ramionami. — Karany? — Tak. — Za co? — Milczy.

Sędzia wyjaśnia, że pół roku temu oskarżony napadł bez żadnej przyczyny przechodnia na ulicy i pobił go. Za ten czyn został skazany na 4 miesiące aresztu. — Czy tak było? — pyta sędzia. — Tak — pada obojętna odpowiedź. — Czy oskarżony przyznaje się do winy? — Wzruszenie ramionami. — Co oskarżony chce wyjaśnić Sądowi? — Odmawiam wyjaśnień.

Przed wysoką kamienicą gromadzą się chuligani. Stoją przed bramą, na ulicy, gdy niepogoda kryją się w bramie. Palą papierosy, czasami piją wódkę, zaczepiają przechodniów, nie przepuszczają żadnej dziewczyny. Padają słowa obraźliwe, niedużo znaczące propozycje, drwiny, przekleństwa. Czasami nie nie mówią, nie nie robią, tylko spoglądają na ludzi z nienawiścią i pogardą. Nie wiadomo z czego żyją, jak się utrzymują.

Stoją tak przed bramą całymi dniami i pluja na cały świat. Dla rozrywki kogoś pobijają, gdzieś coś ukradną, zorganizują jakiś napad, zamieszanie i rozróbę, zniszczą to lub owo, automat telefoniczny, lawki w parku.

W kamienicy na trzecim piętrze, również zbiera się młodzież. Mieści się tam filia szkoły teatralnej. Młodzi studenci i studentki uczą się, odbywają ćwiczenia i przygotowują do egzaminów. Odbijają się próby sceniczne. Wśród wielu studentek zwraca uwagę Jola. Uczy się doskonale i jest bardzo ładna.

Stoi oto przed Sądem i zeznaje zniechęceni:

— Nigdy nie pozwolił mi spokojnie wejść ani wyjść, zawsze zastępował drogę, łapał nas za ręce i za nogi, mówił najgorsze słowa i tak się zachowywał, że tego nie można powtórzyć. Wchodziliśmy więc i wychodziliśmy w odcieniu kolego-awanturnikom, bójka zawsze wisiła w powietrzu. — Dlaczego nie zwróciście się do milicji? — Zwracaliśmy się parę razy, ale to nie nie pomagało. Gdy tylko ukaże się patrol, oni gdzieś znikają. Tego dnia — zeznała Jola — było już dość późno. Pewnie dziewiętnasta. Napra-

waliśmy się bardzo, bo do egzaminów wystawialiśmy sceny z „Wesela”. Większość kolegów już wyszła, a myśmy jeszcze zostali. To znaczy Leszek, Marek i ja. Spieszyliśmy się do domu. Zapomnieliśmy o chuliganach, pozebraliśmy się szybko z kolegami i zbiegliśmy na dół, a tam... oni

mieli nas osłaniać. Rzeczywiście nie napadli. Przepuścili nas wśród obelg i przekleństw. Wszystko to było zbyt obrzydliwe, aby powtórzyć. W końcu rzucili we mnie jakąś puszką po konserwach. Trafili w plecy, ale nie mi się nie stało. Tymczasem Marek uniósł się honorem. Po-

Z NOTATNIKA PROKURATORA BOHATER WYBITEGO ZĘBA

wszyscy stali w bramie, mżył deszcz... i ruszyli na mnie jak na jakiego zwierza, z potwornymi słowami i wyciągniętymi rękami. W jednej chwili znalazłem się z powrotem na czwartym piętrze. Odbiliśmy naradę wojenną. Wózna proponowała, że pójdzie po milicję, ale ona jest bardzo stara i ledwie chodzi po schodach, więc chłopcy nie zgodzili się. A telefonu tam nie ma. — Postanowiliśmy więc wyruszyć. Na trzy osoby nie napadła. Pierwszy szedł Leszek, ja za nim pośrodku, za mną Marek. On

wiedział: „Wy idźcie naprzód, a ja zaraz was dopędzę.” — „Co chcesz zrobić?” — zawołałam. „Muszę się z nimi rozmówić” — oświadczył. „Tak dalej być nie może!” Zawrócił na pięcie i pozedł w stronę bramy. Zatrzymał się jak wrzył. Widzieliśmy, że wszedł do bramy, ale po chwili wrócił. Ktoś z tyłu podbiegł do niego i uderzył go. Marek zasłonił się odruchowo, po czym szedł w naszą stronę chwytając się na nogach. Podbiegliśmy do niego, miał całą twarz skrwawioną i spławał krwią. Chwy-

liśmy go pod ręce i powlekliśmy jak najdalej od tej bramy. W pewnej chwili napotkaliśmy patrol milicji i zameldowaliśmy o wypadku. Marek został uderzony prawdopodobnie jakimś twardym przedmiotem. Miał rozbita jedną część twarzy i wybity ząb trzonowy.

Zeznaje Marek: — Zawróciłem, aby rozmówić się z ich przewodniczącym. Sytuacja była nie do zniesienia i należało jakoś się z nimi ułożyć albo zebrać wszystkich kolegów i odbyć generalną rozprawę. Tak ich sprac, aby się z tej bramy wyprowadzić, czy może wyperswadować, jakoś ich przekonać lub czymś przekupić, składać stały haracz, aby tylko dali nam spokój, musimy się uczyć. Nie miałem określonego planu. Gdy zbliżyłem się do prowdyry, już na pierwsze moje słowa bluznął stekiem przekleństw i stało się jasne, że ta rozmowa nie da żadnych rezultatów. Odwróciłem się więc, minąłem bramę i poszedłem w stronę moich kolegów. Po chwili otrzymałem z tyłu silne uderzenie w prawy policzek. Zamroczyło mnie. Gdy obejrzałem się, zobaczyłem napastnika, który stał bez ruchu za mną i uśmiechał się drwiąco. — Czy to był oskarżony? — sędzia wskazuje ruchem reki. — Tak. — Czy świadek przedtem znalazł go? — Nigdy w życiu. — Czy to oskarżony napadł z tyłu na obecnego tu studenta i uderzył go kluczem, rozbijając mu twarz i wybijając zęba? — Tak, to ja. — Czy oskarżony miał do niego jakąś złość, znał go uprzednio, chciał załatwić jakiego porachunka? — Nie. — Dlaczego oskarżony to ucr-

nił? — Zeznają dalsi świadkowie. Chłopak zawsze miał leć skłonności, uciekał z domu, nie chciał się uczyć, wcześniej trafił w towarzystwo chuliganów i tam dotąd rejd wodzi. Trzeba przy tym dodać, że jest inteligentny i zdolny. — A cóż na to rodzice?

Rodzice to bardzo porządni ludzie. Rzemieślnicy. Pracują. Nie żałują. On jest jedynakiem. Niezago. Nie ma brakowało. Starali się jak umieli. Kształcili, wychowywali, błagali, tłukli. Nic nie pomogło.

— Może powiedzieć — mówi sędzia — może oskarżony żałuje swoich czynów? Może chce wyrzucić skurcze?

— Nigdy niczego nie żałuję. — Przez ławy publiczności przebiega szmer uznania i podziwu. Ten się umie trzymać!

Prokurator wnosi o najwyższy wymiar kary w tego rodzaju przestępstwach — 2 lata więzienia.

Sędzia udziela oskarżonemu ostatecznego słowa.

Chłopak powoli powstaje z miejsca.

— Dwa lata nie mają dla mnie żadnego znaczenia, proszę o cztery lata! — Wśród dziewcząt wyraźny zachwyt i tłumiony entuzjazm. Sąd po naradzie powraca na salę. Wyrok: rok i osiem miesięcy więzienia za wyjątkowo złą wolę, za brak skruchy i za to, że jest recydywista.

Skazany uśmiecha się pogardliwie i wychodzi z podniesioną głową w towarzystwie milicjanta. Prawdziwy bohater wybitego zęba.

ANDRZEJ OSTOJA-OWSIANY



Z nieba sypał żar zapowiadając słoneczne piekło w samo południe. Przed nami blisko czterysta kilometrów do Zgorzelca — a potem prawie drugie tyle do miejscowości Rudolstadt w Turynii, gdzie w zakładach VEB Chemiefaserkombinat im. Wilhelma Piecka pracuje spora grupa Polaków, a właściwie Polek... Dziewczęta z Tomaszowa, Pity i Gorzowa, młodzi technicy z Łodzi, starszy majster z Tomaszowa... Z okazji lipcowego święta wyruszyła do nich grupa artystyczna Estrady Łódzkiej. A więc zespół kabaretowy Łódzka Katarynka w składzie Henryk Szwajcer, Wierusz-Kowalski, duet Jolanta Szeń i Jerzy Miron, Wielisława Kropidłowska, świetny parodysta Andrzej Dyśzak, iluzjonista Balsamo, pianista Włodzisław Nowak oraz występujący w łódzkich bar-

wach kielecki zespół „Arianie”. W rozgrzanym pudle autokaru lykając gorące powietrze pedzimy autostradą poprzez Dreżno, Karl-Marx-Stadt, Jenę do Rudolstadt... Niemal samo centrum Turynii — historycznej krainy, która kiedyś jeszcze w początkach pięćsetnych lat naszego wieku stanowiła granicę między Frankami a Słowianami. Zostały tego ślady. Spoglądam na mapę: rzeka nad którą leży Rudolstadt nazywa się dziś Saale, lecz w nawiasie znajduje się słowiańska nazwa Solawa.

Na lewym brzegu Solawy, Rudolstadt — miasto liczące ponad 30 tysięcy mieszkańców. Ciekawe jest jego położenie. W środku starego miasta wznosi się na wzgórzu zamek Heidecksburg. Jest to stare, olbrzymie zamczysko, które po wielokrotnych zniszczeniach zostało w wieku XVIII odbudowane jako barokowa rezydencja. Obecnie mieści się tu muzeum państwowe dysponujące pięknymi wnętrzami barokowymi i rokokowymi, galeria malarstwa i zbiorem starej broni. Jest to jedno z najbardziej uczeszczanych muzeów Turynii.

Ze wzgórza zamkowego widać jak na dłoni dach starego miasta, rzekę, rozległy park im. Heinego — park w którym



znajduje się skansen przepięknych starych domów wiejskich Turynii.

Na peryferiach miasta powstało po roku 1945 wiele za-

JERZY WILMAŃSKI

POLACY W RUDOLSTADT

kładów przemysłowych, z których największą — zatrudniającą parę tysięcy ludzi — jest VEB Chemiefaserwerk Schwarza im. Wilhelma Piecka. I tu właśnie pracuje grupa polskich robotników i robotnic.

Fabryka jest nowoczesna, hale fabryczne lśnią czystością — obok osiedle, a na terenie zakładów znajduje się Konsum-Kaufhalle — właściwie coś w rodzaju świetnie zaopatrzonego domu towarowego. W ten sposób rozwiązano problem zakupów dla załogi fabryki, jest tu nawet księgarnia, nie mówiąc — oczywiście — o stoiskach spożywczych, garmateryjnych i przemysłowych. Także na terenie fabryki znajduje się ośrodek rekreacyjny z basenem, w którym przy pomocy specjalnego urządzenia unoszą się sztuczne fale niczym na Bałtyku.

Na spotkanie i koncert z okazji Święta Lipcowego przyszli wszyscy. Miejscowym zwyczajem spotkanie odbywa się w sprawie i atmosferze bardziej towarzyskiej niż oficjalnej. Oczywiście są okolicznościowe wystąpienia m.in. radcy Ambasady PRL w Berlinie, ale wszyscy zajmują miejsca przy długich stołach — jak to jest w zwyczaju niemieckich piwiarni.

Rozpoczyna się koncert. Okazuje się — trafiono w dziesiątkę programem, który został tu przyjęty wprost entuzjastycznie. Wszyscy bawią się wybornie.

Nazajutrz po koncercie ruszamy w drogę powrotną. I znów w splekocie upału pędzimy przez górzysty krajobraz Turynii — do Łodzi.



Fot. Archiwum

Wychodząc naprzeciw szerokiemu zapotrzebowaniu społecznemu na najrozmaitsze formy „świadectwa usług dla ludności”, łódzkie spółdzielnie dbają, by nie dać się wyprzedzić innym. I tak np. z zachwytem ostatnio informowano na łamach pewnej gazety, że w Łodzi będzie czynny „punkt szycia strojów żałobnych”. Autor podkreślał z wyraźną dumą, że „będzie to pierwszy tego rodzaju punkt usługowy w kraju”...

W pewnym sensie koresponduje z tą informacją inna, dotycząca wypożyczalni samochodów przy ul. Glinianej. Również reklamowano ją „jako pierwszą w kraju”. Spieszmy więc podać, że już została zlikwidowana. Bez rozgłosu. Klienci rozbili wszystkie pięć „Flatów 125p”, którymi spółdzielnia dysponowała... Ale na pewno nie dwa przykłady nie wyczerpią pomysłów „usługowców”. Można się spodziewać, że klientowi czekają nowe atrakcje, nie mniej szokujące...

W jednym z największych zakładów w Pabianicach wydarzył się wypadek jakiegoś jeszcze krajowego kroniki bezpieczeństwa i higieny pracy nie notowały. Otóż, w czasie mielenia kawy przygotowywanej dla kilkunastoosobowego grona gości, którzy akurat odwiedzili zakłady, uległa wypadkowi 22-letnia dziewczyna zatrudniona na etacie instruktora kulturalno-oświatowego. Takie niefortunne posługiwała się elektrycznym młynkiem, że śmigło wirlmika boleśnie zraniło jej dwa palce prawej ręki.

Goście zrezygnowali z kawy. Nazajutrz powołano komisję do zbadania okoliczności wypadku. Uznano, że był to wypadek przy pracy ponieważ do obowiązków instruktorki należało m.in. przygotowywanie kawy i herbaty dla

osób zaproszonych do zakładu. Stwierdzono też autorytatywnie, że poszkodowana należy bezwzględnie pouczyć w jaki sposób ma się obchodzić z młynkiem elektrycznym...

SAMO ŻYCIE

W konkluzji protokołu — by jednak raz na zawsze zapobiec podobnym wypadkom przy pracy — zalecono zrezygnowanie z podawania kawy. Goście podejmowani są wyłącznie herbata „ekspresowa”...

W restauracjach wprowadzono nową formę podpradkowywania konsumentów — wynagomniom gastronomicznym. Część stolików oznakowano tabliczkami z napisem „Ekspres” a dla tych, którzy nie rozumieją co to znaczy wywieszono informację: „Przy stolikach ekspresowych konsumenci obsługiwani są natychmiast”...

Pewien naiwny turysta z Warszawy, przejeżdżając bawiąc w Łodzi, zapytał w „Tivoli” dlaczego wszystkie stoliki nie są „ekspresowe”? Nie zbity z tropu kelner odpowiedział: — My się na tym nie znamy, to zarządzenie dyrektora...

Rychło jednak konsument zrozumiał w czym tkwi sedno „innowacji”. Przy stoliku „ekspresowym” podaje się wyłącznie żurek i kalafiori gotowane. Łatwo się domyślić, że dania najpewniej przygotowywane są dzień wcześniej. Oczywiście, również w trosce o konsumenta — by jeszcze szybciej otrzymał zamówioną potrawę...

Z kół zbliżonych do dyrektora łódzkiej gastronomii podają, że niedaleki już jest dzień, gdy kelnerzy w restauracjach otrzymają biurka. W godzinach urzędowania będą tylko przyjmować pieniądze, a wstęp do lokali zarezerwuje się wyłącznie dla tych konsumentów, którzy przyniosą sobie własne jedzenie.

Każdy konsument będzie mógł przynieść też swoją książkę zażalen i grzecznie poprosić by kelner wpisał w wolnej chwili stosowne uwagi.

Do doczepnego wagonu tramwaju linii 27 wszedł kontroler. Od razu zwrócił uwagę na staroświeckiego mężczyznę, który w prawej dłoni dzierżył pustą emalowaną wiadro. Podejrzenia okazały się słuszne. Pasażer wprowadził miał bilet ale tylko jeden, a wiadro wiódł „na gape”...

Kontroler już brał się do spisywania mandatu, gdy właściciel wiadra go zapytał: — Przepraszam pana, czy za kapelusz wielkości wiadra też trzeba opłacać bilet?

— Za kapelusz?! Skądże!... — odpowiedział kontroler zapewne znający na pamięć wszystkie tajniki przepisów przewozowych Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego. — W takim razie zakładam sobie wiadro na głowę — rzekł mężczyzna. Co powiedział, zaraz uczynił. Jeszcze tylko zwrócił się do stojącego obok współpasażera: — Bardzo proszę, niech pan z łaski swojej zapuka w denko jak się zatrzymamy na przystanku przy zbiegu ul. Narutowicza i ul. Kopcińskiego, bo będę wysiadał...

Chcąc nie chcąc gorliwy kontroler musiał odstąpić od spisania mandatu...

K.T.

ROMAN GORZELSKI FRASZKI

OCZY I WŁOSY

Miała oczy niebieskie i włosy blond: Tak oto się zaczął mój kolejny błąd.

O WYŻACH

Dzięki wódce i prestiżom Ulegamy różnym wyżom.

WSTYDLIWI

Choć był w raju sami — Chował TO pod listkami.

DO NIEWYBREDNEJ

Wystarczy ci Różnica płci?...

EMPIRYSTKA

O wszystkim wiedziała, Co dotyczy ciała.

MOJ PRZYJACIEL

Mój przyjaciel wciąż się stania Od postania do postania.

O INDYWIDUALNOŚCI

Nie z każdą damą Należy tak samo...

NA KLÓTLIwą ŻONĘ

Zawdzięczam tylko tobie To co z innymi robię.

OPOWIEŚĆ Z MORALEM

Było ich dwoje. Przyszli trzeci. I odtąd mieli wspólne dzieci.

OPOWIĄSTKI WSPÓŁCZESNE

TADEUSZ GIGIER

W INTERESIE POTOMKÓW I NASZYM...

Żyjemy w okresie rewolucji technicznej i naukowej. Co i rusz prasa przynosi tyle rewolucyjnie, co rewelacyjnie wiadomości o zdobyczach nauki, które mają radykalnie zmienić nasze życie, a jeśli nawet nie nasze, to naszych potomków.

Wiadomo już, że w przyszłości można będzie wpływać na ukształtowanie w zarodku (dosłownie) cech osobowych danego potomka. Wiadomo również, że można będzie regulować jego płeć. Można, co nie znaczy, że koniecznie trzeba. Innego zdania jest profesor z brytyjskiego uniwersytetu w Sussex (nomen-omen), pan John Postagatę Otóż pan John Postagatę twierdzi, że w interesie ludzkości naszym moralnym obowiązkiem jest: primo — dążenie do wyprodukowania piguli tzw. selektywnej płodności, secundo — powszechne stosowanie jej w praktyce.

Praktyka zaś powinna zmierzać do tego, aby zapanowała nam szczęśliwie epoka „żeńskości mniejszości”, która uratuje świat od groźby przeludnienia. Nie znam specjalności naukowej profesora Postagatę, mnie zaimponował on jako matematyk. Wylczył, że jeśli proporcja mężczyzn w stosunku do kobiet (a więc i z kobietami) będzie kształtować się jak pięćdziesiąt do jednego, a właściwie — pięćdziesięciu do jednej, ludzkość będzie uratowana. Po prostu tak znikoma liczba kobiet gwarantuje niski przyrost naturalny, bowiem jak dotychczas mężczyźni dzie-

ci nie rodzą i profesor Postagatę, przy całym postępie nauki, nie przewiduje takiej ewentualności.

Angielski uczone zakłada, że przy wprowadzeniu jego systemu zbyt liczne będą wszelkie środki propagandowe regulujące przyrost ludności, za pomocą antykonceptyjnych środków. Wyklucza łagodną perawagę, a tym bardziej stosowanie form jakiegokolwiek nacisku.

Nie stosujemy więc nacisku. Kto wie, czy nie jest to wcale droga do stworzenia kontrsystemu, może nie tak ukrywego naukowo, ale za to sprawdzonego w praktyce. Mam tu na myśli zastąpienie zbliznienia z kobietą przysposobienia z kobietą, którą wiodą szklana woda. Stwierdza mądrość ludowa. Stwierdza intelektualnym proponując rzecz może też nie odkrywczo, ale godną uwagi: obcowanie ze sobą osobników jednej płci. W ten sposób unikniemy „ręcznego” niebezpieczeństwa kryjącego się w systemie profesora Postagatę: oparcia życia społecznego na zasadach poliandrycznych czyli — w łomestwa. Jako mężczyźni, którzy utrzymuje się w przeszłości, że jest nim istotą, nie — chciałbym uratować współpłciowców od plag frustracji, alienacji i dekadencji, którą zagraża posiadanie pięćdziesięciu jednej kobiety. By nie mówić już o kłopotach natury organizacyjnej.

OPOWIEŚCI NIEPRAWDZIWE

RYSOWAŁ: JACEK BROMSKI

Z CYKLU: LEGENDY I PODANIA LUDU POLSKIEGO



Program „Wszystko za wszystko” zbliżył się do życia. Realizatorzy zdecydowanym krokiem przeszli do spraw codziennych. Ostatnio zaprosili pana docenta, który projektuje szkło użytkowe oraz takie nie bardzo.

Pan docent już na wstępie dał telewizjom do zrozumienia, że jest mistrzem. Opowiedział mianowicie anegdotkę z własnego życia. Otóż pewna pani powiedziała: „Mistrzu, pan mi się kojarzy z kieliszkiem”... I tu pan docent zaśmiał się z własnego dowcipu i odpowiedział: „ale mam nadzieję, że z pustym”...

Trochę trudno w to uwierzyć, bowiem zaraz potem Mistrz rozpoznał bezbłędnie ukazane mu kieliszki z restauracji Hotelu Europejskiego.

I już dalej program potoczył się w tonacji bliskiej szerokim kręgom odbiorców. Zaczęło mianowicie rozmowę o kieliszkach, bańkach, felerzyskich i szklankach, ze szczególnym uwzględnieniem musztardówek.

Mistrz znów błysnął dowcipem opowiadając jak to przeciętny Polak całe życie przywiązany

ny red. Mikołajczyk zasnął swoją obecność „bonmotem” „jako starzec szluzną szczęśliwym w musztardówce”.

Fineza tego dowcipu wprost wzruszająca.

Mistrz nie dał się jednak zdemaskować. Nawet wówczas gdy zdemaskowano go jako twórcę szklanki, z której nie da się napić. Tak, tak. Wydaje się to niemożliwe, a jednak Mistrz tego dokazał. Zaprojektował mianowicie szklankę — ładną w kształcie zresztą — o takim przebiegu, u podstawy, że płyn zamiast trafiać do ust rozpryskiwał się po

jęcamu po oczach. Jest to prawdopodobnie jedyny tego rodzaju model na świecie. Znamy pod nazwą „szklanka bul-bul”. Mistrz weale się spierał, nie szczycił tym osiągnięciem, stwierdzając tylko, że nie wszystko może się udać. Na stępnym razem jak się uda, Mistrz zaprojektuje szklankę, której nie tylko nie będzie można pić, ale także nie będzie można do niej nie wlać.